Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

„Tempora mutantur et nos mutamur in illis“.

„Wszystko uległo przemianie,
Pamięć tylko pozostanie“.

„Tak ne bude jak buwało“.

WSTĘP.

Rezultatem ścisłych badań archeologicznych jest niezbita pewność, że ród ludzki w epoce kamiennej, bronzowej i żelaznej, osobliwie w pierwszej, nie znał rolnictwa, ani też pasterstwa, czyli hodowli zwierząt, które naprzód musiał przyswoić, zanim mu służyć miały do różnych celów. Żył więc wówczas człowiek w stanie na pół dzikim, nie wiele się różniącym od trybu życia zwierzęcego. Duchowych potrzeb czuł zbyt mało, żył bardziej fizycznie, pragnienie gasząc wodą z obfitych źródeł, głód zaspokajając płodami ziemi, a w braku tychże w porze zimowej, mięsem innych stworzeń, czy to czworonożnych lub skrzydlatych, jako też ryb, a nawet płazów i owadów, bo „głód to najlepszy kucharz“ — mówi stare przysłowie. Ów tryb życia pierwotnego najdosadniej da się skreślić starą łacińską przypowieścią: „*Mors tua, vita mea*“, czyli dzisiejszą Darwinowską: „Walką o byt“. Człowiek następował na życie zwierzęcia, a zwierzę pragnęło krwi ludzkiej. W groźnej tej walce wysilano się, w celu wzajemnego pokonania się bądź to siłą, bądź podstępem.

Człowiek ówczesny, jako żyjący jedynie życiem fizycznem, silny, zuchwały i wytrwały, nie mógł się jednak mierzyć z siłą zwierząt drapieżnych, obdarzonych ostrymi zębami, pazurami i potężną mocą muszkułów, więc w pomoc przywołał siłę wyższą — siłę rozumu, którą wnet opanował cały świat zwierzęcy. Rozum doradził mu użyć ciężkiej, drewnianej maczugi, toporka krzemiennego, umocowanego łykiem na rozszczepionem drzewcu, lub młota, czyli raczej bryły kamienia, osadzonego na cienkim drewnianym trzonie; tą bronią wzmocnić bezbronne swe dłonie w walce z leśnymi potworami, mięso ich spożyć, a skórą pokryć nagie swe ciało. I oto początek łowiectwa.

Jak długo wiódł człowiek takie dzikie, koczowniczo-łowieckie życie, dokładnie niewiadomo; tyle tylko stwierdziła historya, że w południowej Europie oświata wyprzedziła o wiek cały północną. Kiedy bowiem w Grecyi i Rzymie słońce wiedzy już w pełnym blasku jaśniało, to w północnych krainach zalegał jeszcze ciemny zmrok, lub szary zaledwo przedświt. Tam ludy na olbrzymich przestrzeniach, puszczami leśnemi, bagnami i wodami pokrytych, wiodły żywot półdziki, koczowniczo-łowiecki, gdy już

u helleńskich i romańskich narodów znane były rolnictwo, pasterstwo, handel, przemysł, a nawet sztuki piękne, jak świadczą szczątki świątyń i gmachów publicznych, dziś jeszcze pod względem swej architektoniki podziwianych. Wszakże posągi greckich i rzymskich bogów, rzeźbione w marmurze lub kamieniu, świadczą wiernem odwzorowaniem natury i wdziękiem kształtów wymownie o wysokiem już rozbudzeniu ducha u tych ludów. W tym samym czasie były bóstwa Germanów, Skandynawów i Scytów bezkształtną niemal masą, wyciosaną z drzewa lub kamienia — istne bałwany, noszące na sobie piętno nieudolności twórców i barbarzyństwa czcicieli. Nie moją wszakże rzeczą głębiej zaciekać się w dzieje rozwoju oświaty. To pewne, że w miarę ustalania się pasterstwa, a następnie rolnictwa, co raz mniejsza była potrzeba zapędzania się w puszcze leśne za dzikiemi zwierzętami, staczania z niemi srogiej walki, że przeto wraz z ukojeniem łowieckiej namiętności tworzyły się spokojniejsze i normalniejsze obyczaje. Szczególnie rolnictwo ukróciło znacznie łowieckie zapędy. Lubo łowiectwo przestało być jednym z najgłówniejszych środków utrzymania życia, to jednak pozostało ono wszędzie, już to jako najdzielniejszy bodziec do fizycznego rozwoju ciała i wytworzenia rycerskiego ducha, jużto jako obyczaj, z pokolenia w pokolenie przechodzący. Toż nie ma zakątka na całej kuli ziemskiej, gdzieby łowiectwo nie miało gorących adeptów.

Łowiectwo nie jest wynikiem przyrodzonych drapieżnych popędów człowieka, jak niektórzy mniemają, na szlachetniejszym ono spoczywa gruncie, a często staje się koniecznością. Świadczą o tem przygody rozbitków okrętowych, wyrzuconych przez bałwany morskie na lądy wysp bezludnych, zamieszkałych przez dzikie zwierzęta. Nieszczęśliwi ci ludzie, zwłaszcza gdy skąpa flora nie dostarczała im owoców jako pożywienia, w łowiectwie i rybołowstwie szukali w ciągu długiego tam pobytu środków utrzymania swego życia, podobnie jak ludy pierwotne, używali tych cennych narzędzi.

Jasnem jest, że łowiectwo wynikło z potrzeby utrzymania życia. Dziś już tej potrzeby nie ma — jakiż obecnie jest powód istnienia łowieckiego popędu? Nie chcemy wnikać w tę rzecz, to wszakże pewne, że nie zniknęło łowiectwo w postępie czasu, jak inne barbarzyńskie obyczaje, przeszło ono aż do naszych czasów, w czem mamy dowód, że jest istotną potrzebą dla ludzkości.

Temi kilku słowy uważałem za konieczne poprzedzić rzecz samą, ponieważ chciałbym opowieść moją ująć w pewien porządek chronologiczny, jeżeli nie ściśle w epokach zamknięty, to przynajmniej zawierający główne fazy, które łowiectwo przebywało, a przy opisie ludowego łowiectwa i rybołowstwa zwrócić uwagę czytelnika, o ile one od swej pierwotnej formy mało odbiegły. Zresztą jest to nie ściśle naukowa rozprawa, na którąbym się w obec światłych czytelników nie odważył, lecz raczej pogadanka, odtwarzająca w pamięci ich poważniejsze wspomnienia.

Jakkolwiek łowiectwo stało się obyczajem całej ludzkości, to jednak z powodu rozdzielania się jej na odrębne szczepy i narody, podziału powierzchni ziemi na kraje i państwa, klimatycznego tychże położenia i ztąd odmiennych zwierząt, wreszcie z powodu stopnia oświaty nierównego u każdego narodu — obyczaj ów łowiecki nosił na sobie właściwą każdemu narodowi lub państwu cechę.

Miała też i Polska, szczególnie w wiekach średnich, odrębne swoje łowieckie zwyczaje. Szlachta, czyli stan rycerski, tyle zawsze pochopna do przyjmowania obczyzny, wchodzącej do kraju wraz z panującymi, ich dworem, co do łowiectwa była zawsze ściśle zachowawczą. Żaden obcy zwyczaj nie wkradł się do myśliwstwa, opartego na rodzimej tradycyi. Szlachta, jako zakon rycerski, gdy surmy nie wzywały do boju w obronie kraju, żywiła ducha wojowniczego namiętnem oddawaniem się łowiectwu, uważając je jako rycerskie igrzysko, a namiętność ta stała się potrzebą, gdy z czasem wojenne wyprawy stawały się coraz rzadszemi i trzeba było w inny sposób wyrabiać i krzepić męzkiego ducha. Toż uważano za zniewieściałego niedołęgę, kto nie był myśliwym i z ręczną bronią w ręku nie stawał do krwawych często zapasów z groźnym zwierzem w rozległych ostępach leśnych, nie przepuszczając nawet swym władcom. Niektórzy królowie polscy, jak Henryk Walezy, Zygmunt III., Jan Kazimirz, nie znajdowali upodobania w łowieckich trudach, co w części się przyczyniło, iż nie mieli miru w narodzie. Stan duchowny i mieszczański wcale prawie nie zajmował się łowiectwem, ale szlachcic chyba wiekiem lub kalectwem złamany, usuwał się od tego trudu. Łowieckie zajęcie było obowiązkiem męzkiej połowy szlacheckiej i nikt od niego uchylić się nie ważył. Dziś, gdy myśliwstwo jest raczej igraszką, dziwnem się może wyda ów hołd powszechny jemu oddawany, ale wówczas tak było nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, i było niejako koniecznością. Nie było wtedy zakładów i wojskowych akademii, w którychby młodzież w rycerskiem rzemiośle się kształciła. Wszyscy ówcześni znakomici wodzowie przechodzili stopnie wojskowe i uczyli się nie w teoryi, lecz praktycznie kunsztu rycerskiego. Nim młodzieniec zaciągnął się pod chorągiew pancerną, już umiał dzielnie dosiadać najognistszego nawet rumaka, władać mieczem i kopią. Wyrostkiem uczył się ciąć krzyżową sztuką i na manekinach zmiatać głowy Turkom, władać kopiją, z konia w największym jego pędzie zdejmować zawieszone pierścienie, strzelać z łuku trafnie, a później z rusznicy nabywał wprawy jedynie na łowach. Nim użyto broni palnej, mierzono się z niedźwiedziem albo dzikiem bronią białą, berdyszem, dzirytem (rodzajem kopii z znacznie krótszym drzewcem), albo krótkim mieczem. W celu pokonania osaczonego przez psy którego z tych potworów leśnych, należało stoczyć z nim krwawą nieraz walkę, z której wychodził zwycięzcą tylko łowiec mężnego serca i dzielnej ręki.

My dzisiaj pojęcia nawet nie mamy o takiej walce, niepospolitej trzeba było siły i nieustraszonej odwagi, w przeciwnym bowiem razie, gdy cios nie był śmiertelnym, dzik niezawodnie spłatał, a niedźwiedź w uścisku zgruchotał kości, lub pazurami zdzierał czaszkę. Odyńca brano podwójnym sposobem, wbijaniem krótkiego miecza w paszczę, lub pchnięciem w komorę. Gdy miecz nie dosyć głęboko utkwił w paszczy, dzik w szmaty rozdzierał kłami nieszczęsnego łowca. Pchnięcia dzirytem dokonywano zwykle z konia. Działo się to w chwili, gdy osaczony i szarpany przez psy odyniec do szalonej wściekłości był doprowadzony, gdy kłami ciął w około śmiertelnie, lub ryjem w powietrze wyrzucał swoją ofiarę. Wówczas myśliwy, który pierwszy dobiegł na plac walki, potykał się z nim bez współudziału reszty myśliwskiej drużyny. Dzirytem uzbrojony przypadał do zapienionego, groźnie fukającego

odyńca, w ten sposób tocząc koniem, aby zwierzę mieć zawsze po lewej stronie, jak mawiano: „na ręku“, bo tylko wtedy możliwe było śmiertelne pchnięcie.

Tak to według podania kroniki Marcina Bielskiego polowali książęta i królowie z rodu Piastów, Jagiellonów, a nawet Wazów. Tak polowali królowie Władysław IV, Stefan Batory, tak też polowano podówczas w całej Polsce. Tak zaprawiony młodzieniec nie dziw iż był dzielnym wojownikiem.

„Dzieckiem za młodu kto łeb urwał hydrze,
„Młodzieńcem zdusi centaury“,

mówi nasz wieszcz, a staropolska pieśń głosi:

„Pytaj Turków, Szwedow„ pytaj krymskiej Ordy
„Jak płacili Polacy za najazd i mordy“.

I duch i ciało nabierały hartu na takich łowach. Ówcześni władcy i możni panowie utrzymując liczny poczet łowiecki i psiarnię, gdy kraj nie był w potrzebie, chętnie spędzali czas na łowach, przypominających trudy wojenne i obozowe. Mniej, a nawet wcale niezamożna szlachta oddawała się również tej zabawie i nieraz owa namiętność łowiecka pochłaniała nietylko szlachecką, ale i pańską fortunę. Jesienią po obsiewach lub w zimie ruszał szlachcic najczęściej samotrzeć lub w gronie sproszonych sąsiadów z oszczepem w ręku w knieje, polując na grubego zwierza, zastawiając wszelkiego rodzaju samołówki na skrzdlatą lub czworonożną zwierzynę, albo bijąc z łuku sarnę lub szaraka. Lud też chętnie garnął się do łowów, zwłaszcza na drobną zwierzynę, bo do grubej nie miał odpowiednich przyborów, więc nigdy zaczepnie, lecz raczej odpornie z nią się mierzył, lub chwytał ją na stempice, w kłody, wilcze doły i w różnorodne inne sposoby, które przeszły aż do naszych czasów.

Mierzenie się z grubą zwierzyną „na rękę“ było koniecznością, gdy palnej broni jeszcze nie znano, lub jej nie używano z powodu kształtów, raczej do obrony miejsc warownych, jak do przenoszenia przeznaczonych. Po udoskonaleniu użyto jej do łowiectwa, lecz i wtedy jeszcze ze wstrętem długo odwracano się od nowości. Zresztą jako wyrób zagraniczny wielce była owa broń palna kosztowną, więc nieprzystępną nawet dla niejednego karmazyna, tem mniej dla szaraczka. Później poczęto i u nas wyrabiać przeróżnych kształtów rusznice, arkebuzy, muszkiety podpalane lontem, następnie przerobiono je na samopały, bo bez lontu, lecz już z zamkami, kruczkami, kurkami, z których pierwsze za pomocą sprężyny puszczone w ruch tarciem o krzemień wydobywały iskry i zapalały podsypkę na panewce i nabój. Owe później już wynalezione samopały nosiły nazwy gardłaczów, szturmaków, flint, rusznic, strzelb. Domorośli rusznikarze, w miarę swych zdolności, dobrze lub źle naśladowali ów wyrób zamorski. Za najlepsze uważano rusznice hiszpańskie, po nich szły szwedzkie i niemieckie. Hiszpańskie samopały z powodu ich rzadkości i wysokiej ceny mogły się znajdować chyba w królewskiej lub magnackiej zbrojowni. Szwedzkie i niemieckie walcząc z sobą o pierwszeństwo, pospoliciej już były używane, ale tylko przez możnych. Domowego wyrobu rusznice nabywała szlachta z niemałym uszczerbkiem dla swego mieszka, a dla chudopachołka były one zbyt drogim artykułem. Ztąd to wywodzi się owa dawna przypowieść:

„Kulbaka turecka, rusznica hiszpańska,
Zbroja jorska, koń bachmat — fortuna to pańska“.

lub też:

„Kulbaka turecka, rusznica niemiecka,
Klinga damasceńska — fortuna szlachecka“.

Umiała sobie jednak radzić mniej zamożna szlachta, a zwłaszcza rycerska. Prawem się stało, iż zwycięzca na turnieju brał konia i rynsztunek zwyciężonego, martwego czy żywego, prawo to miało także moc wobec pokonanego nieprzyjaciela podczas wojny, łup z niego przypadał zwycięzcy, a nawet on sam stawał się jego własnością. Toż nieraz pod słomianą strzechą zagonowego szlachcica znajdowano częstokroć zbroję wysokiej wartości.

Pomimo użycia broni palnej do łowiectwa, w długim jeszcze okresie czasu było branie niedźwiedzi i odyńców na oszczep, dziryt lub krótki miecz, ogólnym zwyczajem tak w Litwie jak Koronie, a zwolenników broni palnej było niewielu. Myśliwy starej daty nie byłby za nic strzelał do żubra, niedźwiedzia lub dzika, i w takim razie mawiał:

„Ubić z flinty sztuka nowa,
Toć potrafi białogłowa!“

Wynalezienie palnej broni popchnęło sztukę wojenną na nowe tory, a w łowiectwie też wywołało zmiany. Nowość tak jak teraz umiała sobie zjednać licznych zwolenników. Poczęto polować z palną bronią, a bogatszą stawała się zdobycz łowiecka. Wszalką zwierzynę uszykowano w pewien porządek. Żubra, jelenia, łosia, niedźwiedzia, dzika nazwano królewskim lub grubym zwierzem, a przyłączono też do tego rzędu wilka. Dalej następowały: koziorożec, suhak ukraiński, dziki koń zwany litewskim, który dziś nie tylko w Polsce, ale w całej Europie zaginął. Po nich szły: sarna, kozica, te wraz z jeleniem, koziorożcem, suhakiem i łosiem zwano zwierzyną płową. Do powyższych doliczały się też: wydry, lisy, jaźwce, żbiki, ostrowidze-rysie, a kończył ów szereg zając, zwany szarakiem. Po tej następowała zwierzyna podła, czyli chłopska, niegodna strzału z broni palnej lub łuku, bito ją więc kijem. Do niej należały: kuny, norki, tchórze i cały zastęp drobiazgu. Do niektórej zwierzyny skrzydlatej strzelano przed wynalezieniem broni palnej z łuków, lub łowiono ją za pomocą „unoszonych“ sokołów, albo ułaskawionych krogulców. Drobniejsze ptactwo tak leśne jak błotne chwytano sposobem należącym do ptasznictwa, dla tego też mawiano: „ptasznik chwyta“, nie „łowi“.

Łuki mogą być uważane jako broń najdawniejsza; wszystkie starożytne ludy znały je i używały. Dziś jeszcze są w Rosyi azyatyckiej ludy, nie używające innej broni prócz owej pierwotnej. Najdłużej zatrzymali je kozacy zaporozcy i Tatarzy. Trafić zwierza w biegu, ptaka w locie zwłaszcza z tak zwanego w Polsce tatarkiego, kabłąkowego łuku bez „przykładu“, trzeba było być zaprawdę mistrzem. Trudniejszym był niezawodnie taki strzał, jak teraźniejszy kulą. Trafność strzału zależała od bystrości oka, a doniosłość i skuteczność od sprężystości kabłąków, które wyrabiano z różnych materyałów, z samorodnie kabłąkowo wyrosłego, twardego, lecz niekruchego drzewa, z rogu, którego używali Tatarzy, lub stali, z tak zwaną cięciwą, czyli sznurkiem skręconym z kiszek zwierzęcych, albo z wąskich, mocno splecionych rzemyków surowcowych. Gdy był sprężysty, nie trudno go było naciągnąć, zwłaszcza mężowi silnemu, jak ów łuk Ulisesa, po którego napięciu w przemienionym przez boginię żebraku Penelapa poznała swego męża, a natrętni jej zalotnicy swego władcę.

*

Z takiego przyrządu wypuszczona strzała przeszywała na kilkadziesiąt kroków żelazem opancerzoną pierś przeciwnika, zkąd wolno wnosić, że strzał taki bywał na 150 kroków śmiertelnym dla nieopancerzonej piersi. Takimi łukami uzbrojeni Litwini gromili przez długie lata pseudo-apostołów chrześciańśtwa — krzyżaków.

Inny był jeszcze rodzaj łuków, używany w Polsce śród zapasów wojennych. Ojczyzną jego ma być Szkocya; twierdzenie to jednak nie jest dotąd pewne. We Francyi miały się po raz pierwszy pojawić wraz z tak zwaną gwardyą łuczników, złożonych ze Szkotów, których Ludwik XI. zaciągnął dla obrony swej osoby. Do Polski dostały się owe łuki ze Szwecyi. Taki starożytny niemiecki łuk widziałem sam, mogę go przeto dokładnie opisać. Do twardego, najczęściej z dębiny wyciosanego łożyska, jakiego później używano do osadzania muszkietów, przytwierdzano u samego górnego końca (u dołu był przykład, kolba), mocno sznurem, albo żelaznemi antabami na pół cala grubą, a na cal szeroką, lekką kabłąkową, ze stali wykutą szynę, a raczej sprężynę. Do obu jej końców przywiązywano sznur z kiszek zwierzęcych skręcony, zwany cięciwą *(Bogenseil)*. Przy użyciu strzały, sporządzonej z twardego, lecz lekkiego i giętkiego drzewa, albo z trzciny, zwanej w dawnej Polsce trzciną bakałarską, długiej około łokcia, u jednego końca z ostrym jak igła grotem, wyrobionym z hartownej stali, zastrugiwano nieco dolną jej część, nadając postać łopatkową. W oba ostre brzeżki czyli kanty wtykano do kilkucalowej wysokości albo pióra ptasie, naturalnej lub sztucznej białej, czarnej, czerwonej, lub innej barwy, lub też, jak to czynili Tatarzy, koński włosień, co ułatwiało wypuszczonej strzale lot prosty. Przez naciągnienie cięciwy ku dołowi to jest środkowi osady naginano i szynę, czyli wyprężano ją w kształt półkulisty, ściągniętą cięciwę zahaczano na ruchomy, przez całą grubość osady przepuszczony żelazny kurek czyli kruczek, który wytężoną cięciwę zatrzymywał. Następnie w rowek wyżłobiony umyślnie w tym celu, wzdłuż cieńszego końca osady, wkładano strzałę, dolny czyli tylny jej koniec o cięciwę opierając. Poruszenie ruchomego kruczka, u spodu osady, niby cyngiel wystającego, wywoływało zemknienie zeń cięciwy, co nazywano wypryśnieniem albo warknieniem. W skutek tego nagięty ku dołowi łuk właściwy czyli kabłąk stalowy, w gwałtownem poruszeniu wracając do swego zwykłego kształtu, porywał za sobą cięciwę, a tem samem i strzałę o nią opartą, która ze świstem pomykała lub leciała ku przedmiotowi, branemu na cel tak, jak z muszkietu z przyłożeniem do prawego policzka. Takiego kształtu łuki wyrabiano w znacznie większych rozmiarach, ale używano ich z powodu ciężkości i mozolnego naciągania, zwanego napinaniem, właściwym do tego celu służącym przyrządem, jedynie w obronie miejsc warownych. W Polsce nie używano wcale tego kształtu łuków, nawet lekkich, na łowach, a w czasie wojny mało, bo Polacy zwykle konno występowali do boju, więc broń taka z przyczyny trudnego napinania, co się wykonywało przy pomocy obu rąk, opierając górną część łuku o ziemię lub przedmiot jaki, była dla jeźdźca nieużyteczną. Piechoty czyli tak zwanych pieszych chorągwi nie wiele bywało stałej, zaciągano ją w razie wojny u obcych narodów, zwano ją też zaciągiem cudzoziemskiego autoramentu, a była ona uzbrojona bronią własną w kopije, ale bez proporców, i łuki, jakie wyżej opisałem. Wszelkiego kształtu łuki miały prócz innych tę jeszcze niedogodność, że przy najmniejszem zamoknięciu cięciwy, sporządzonej z jelit zwierzęcych lub skóry, materyałów już z natury swej nader wrażliwych na wilgoć, cięciwa miękła i traciła niezbędną sprężystość i stawała się nieużyteczną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TRZECH BUDRYSÓW MYŚLIWSKICH.

Znany z dzielnych swych czynów,
Stary strzelec trzech synów
W dzień wigilii zawoła i powie:
Weźcie strzelby, papucze,
„Wasze torby borsucze
I na łowy ruszajcie synkowie!

Wicek, Wacek niech jadą
Hen, ku naszym sąsiadom,
Co prosili mnie wczoraj serdecznie,
Ja już stary, nie jadę,
Lecz jadącym dam radę,
Sprawcie mi się i dzielnie i grzecznie.

Franuś niechaj się uda,
Aby sprawdzić te cuda,
Co o kniei hrabiego roznoszą,
Tam to wilki i rysie
I jelenie i mysie
Są obfitą myśliwską rozkoszą".

Skończył, przepił palanki,
Oni wsiedli na sanki
I pomknęli z kopyta w dwie strony.
Stary strzelec wąs kręci
I w uspionej pamięci
Szuka dawnych swych czynów — strapiony.

Już wieczerza gotowa,
Słońce w chmury się chowa,
Pierwsza gwiazdka na niebie lśni jasno,
Strzelec śledzi oczyma,
Synów nie ma i nie ma
I w pokoju mu duszno i ciasno.

Wyszedł w ganek i słucha.
Odgłos dzwonków do ucha
Wpadł mu. Stary uśmiechnął się rady,
Chwilka — w bramie bułanki
Z Wickiem, Wackiem mkną sanki,
Co jeździli polować z sąsiady.

„Jak tam chłopcy?" — zawoła —
Głucha cisza dokoła,
Tylko z sanek się jęki ozwały,
„Postrzeleni — rzekł Janek —
Trza paniczów znieść z sanek".
A ze strachu parobek drżał cały.

„Co ci Wicku mój słodki?" —
„Ojcze! w nodze trzy lotki,
Wacek śrót ma zajęczy gdzieś w udzie,
Tam polować nie znają,
Tam do ludzi strzelają
I z flint lichych strzelają tam ludzie".

Stary łzy pokryjomu
Starł, nakazał do domu
Zanieść synów i z miną zgryźliwą
Splunął, klasnął w dłoń dłonią:
„Służba! sanki znów dzwonią,
Trzecie łóżko rozbierać co żywo!"

Leon Gustaw Dziubiński.

Ogary i charty

skreślił

Stanisław Rewieński.

Wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało!
„Pan Tadeusz" Księga IV.

(Dokończenie.)

Dlaczegoż naga rzeczywistość zmusza nas do przedstawienia ujemnych stron tego obrazka? A te strony, niestety! są bardzo liczne w jesieni, poczynając od drugiej połowy Września; ulubionem miejscem pobytu zająca są pola obsiane oziminą i zarośla w pobliżu ich leżące. Tam zatem myśliwy szuka zająca, a ponieważ go w krzakach upatrzyć nie może, pilnuje na stanowisku, nim mu ogary lub dojeżdżacz z harapem kota nie wypłoszą. Pogoń odbywa się po runi, a chociaż charciacze wymyślili na swoje usprawiedliwienie specyalne przysłowie: „gdzie końska stopa, tam żyta kopa", to jednak właściciele pól, oziminą zasianych, nie podzielają tego zdania i woleliby, aby im runi nie tratowano, chociażby o zwierzynę, znajdującą się na ich terytoryum, nie byli zazdrośni. Rozdrobnienie zatem własności ziemskiej i wyższa kultura stanowczo wykluczają polowanie z chartami, które zachować się jeszcze może tam tylko, gdzie się znajdują wielkie obszary przy niskiej kulturze i niskiej cenie ziemi. Im dalej posuwamy się na wschód, pomijając okolice lesiste lub gęściej zamieszkałe przez ludność fabryczną, tem wyraźniej na pierwszy plan występuje polowanie z chartami, a w środkowej i południowej Rosyi doszło ono do szczytu udoskonalenia, tak pod względem ras chartów, jak i umiejętności charciarskiej sztuki. Rzecz prosta, że przy takiem łowiectwie strona ekonomiczna pozostaje nieuwzględnioną; ale też zamożni właściciele ziemscy nie dbali o nią, lecz tylko własną przyjemność mieli na celu. Lat temu czterdzieści, w gubernii Orłowskiej, pewien właściciel ziemski przenosząc się na stałe mieszkanie do miasta, sprzedawał swoje myśliwstwo, składające się z dwudziestu sfor ogarów, tyluż smyczy chartów, dwudziestu czterech koni i — dwudziestu czterech poddanych: szczwaczy, dojeżdżaczy i psiarczyków, którzy prócz tego wyuczeni byli muzyki i stanowili bardzo sforną i zgodną orkiestrę na dętych instrumentach. Dzisiaj trudno prawie uwierzyć, że podobne rzeczy były możliwe przed tak niedawnym stosunkowo czasem.

Zaznaczyć jednak należy, że głównym celem polowań z całą zgrają ogarów, chartów, koni i myśliwych był nie marny zając, ale wyjęty z pod wszelkich praw ochrony wilk, jako licznie rozmnożony szkodnik, któremu miejscowa ludność wieśniacza musiała składać ciężki haracz w koniach, bydle, owcach i nierogaciźnie. Takie więc łowiectwo, stanowiące kosztowną rozrywkę ludzi zamożnych, przynosiło jednak pewną korzyść ekonomiczną dla klasy uboższej i w takiem swem społecznem znaczeniu miało niesłychaną wyższość nad angielskiemi *„foxhunting"*, więcej może jeszcze kosztownem, więcej zrządzającem szkód w rolnictwie, a nie przynoszącem w zamian żadnych korzyści.

Tutaj powtórnie składam własne pióro, aby przytoczyć w skróconym przekładzie ustęp ze znakomitej powieści „Wojna i pokój", w której autor, hr. Tołstoj, mistrzowskiem piórem kreśli dziejowe wypadki i wewnętrzne życie wyższych sfer społeczeństwa rosyjskiego w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia.

W przekładzie opuściłem charakterystykę osób działających w powieści i opis ich czynów, nie będących w bezpośrednim związku z epizodem łowów.

*
* *

Ogarów wszystkich było pięćdziesiąt cztery, a przy nich dziesięciu dojeżdżaczy. Szczwaczy z chartami oprócz panów było ośmiu, a liczba ogólna chartów wynosiła czterdzieści. Razem więc orszak myśliwski składał się blisko ze stu psów i dwudziestu jeźdźców. Każdy pies znał swoją nazwę i myśliwca, który go prowadził; każdy myśliwy znał swoje miejsce i wiedział co ma robić. Wyjechawszy z pomiędzy zabudowań dworskich, długi łańcuch jeźdźców i psów wyciągnął się w milczeniu na drodze i po polu, zmierzając do lasu. Konie cicho stąpały po miękkiej zoranej i świeżo oziminą zasianej roli, jak po kobiercu. Mgła cicho i spokojnie opadała na ziemię, powietrze było nieme, bez dźwięku, czasem tylko ozwało się gwizdnięcie jeźdźca, parskanie konia, uderzenie harapa po psie niepilnującym miejsca, lub skomlenie psa, skarconego tym sposobem.

Myśliwi ujechali już może wiorstę, gdy wśród mgły ujrzeli jeszcze pięciu jeźdźców z psami, zmierzających ku sobie. Na przodzie jechał żwawy, piękny staruszek, z długimi, siwymi wąsami.

— Dzień dobry dziadziu! — rzekł młody pan całego orszaku, hrabia Mikołaj, gdy staruszek zbliżył się do niego.

— Sprawa czysta, marsz! wiedziałem że wyjedziesz dziś w pole i dobrze robisz. — (Był to daleki krewny rodziny hrabiów Rostowych, którego wszyscy w okolicy nazywali dziadziem). — Sprawa czysta, marsz! — (było to ulubione przysłowie staruszka). — Zajmuj zaraz knieję i stanowiska, bo mówiono mi, że pan Płagin wybiera się także, on ci z przed nosa zabierze całe gniazdo wilków.

— A więc zebrać psy do kupy! dobrze!

Dojeżdżacz zgromadził psy, a Mikołaj z dziadziem pojechali razem. Do kniei było może kilkaset kroków. Naradziwszy się z dziadziem, zkąd psami zakładać, Mikołaj ruszył na stanowisko po nad wąwozem.

— Oho chłopcze! chcesz widzę wziąć starego wilka! pilnujże dobrze!

— Jak się uda! Karaj! do konia! — zawołał Mikołaj, odpowiadając tem na słowa dziadzia. Karaj był to stary, kudłaty, brzydki chart, sławny z tego, że w pojedynkę chwytał starego wilka.

Tymczasem starszy hrabia, (ojciec Mikołaja), w towarzystwie swego kamerdynera, podjechał wózkiem do miej-

sca, gdzie już na niego oczekiwał stajenny ze spokojną, lecz silną i dzielną klaczą wierzchową. Hrabia odesłał powóz do domu, a sam rzeźko dosiadł swojej klaczy.

— A gdzie Mikołaj? — spytał swego kamerdynera.

— O, młody pan pewnie już na stanowisku; przed nim niezawodnie wilk nie ujdzie, bo wie gdzie stanąć i jak poszczuć. To dopiero jeździec, to myśliwy! jak onegdaj...

I nagle przerwał, gdyż wtem odezwały się głosy dwóch czy trzech psów.

— Pewnie trafili na gniazdo... — wyszeptał.

Hrabia w milczeniu zaczął się przysłuchiwać, trzymając w ręku tabakierkę, którą zapomniał otworzyć. Na głos psów ozwała się basem trąbka dojeżdżacza, starego Daniły, dając hasło na wilka. Cała psiarnia się skupiła i knieja zabrzmiała graniem psów, tym wściekłym, podobnym do wycia głosem, znamionującym gon za wilkiem. Dojeżdżacze dodawali zachęty psom, a nad wszystkimi górował głos Daniły, niekiedy huczący basem, to znowu przechodzący w przeraźliwą, wysoką nutę. Głos ten zdawał się napełniać całą knieję i leciał gdzieś daleko w pole.

Nasłuchując przez czas niejaki w milczeniu, hrabia i szczwacz jego przekonali się, iż złaja ogarów rozbiła się na dwie części: jedna z nich, większa, goniąca nader gorąco, zaczęła się oddalać, druga zaś mknęła wzdłuż brzegu lasu i za nią słychać było głos Daniły. Gon i jednej i drugiej to łączył się w jedno granie, to się znowu dzielił, lecz widocznem było, że się oddalał. Szczwacz Szymon westchnął głęboko i nachylił się, aby poprawić smycz, w którą się zaplątał jeden młody chart.

— Nazad! — krzyknął Szymon na charta, który się wysunął z zarośli na pole.

W tem, jak to często bywa, granie psów zdało się przybliżać, jak gdyby tuż tuż przed nimi znajdowały się ziejące rozmaitymi głosy paszcze psów i pokrzyk Daniły.

Hrabia się odwrócił i ujrzał jednego z dojeżdżaczy, patrzącego nań oczami, które zdawały się na łeb mu wychodzić, dojeżdżacz wzniósł czapkę do góry i wskazywał nią hrabiemu jakiś przedmiot na przodzie.

— Pil-l-l-nuj! — wykrzyknął wreszcie takim głosem, iż widocznem było, że ten okrzyk od dawna już dławił go w gardle i wybuchnął nareszcie z całą siłą. W tejże chwili jakby mu coś ulżyło, puścił się pędem w kierunku ku hrabiemu.

Hrabia z Szymonem wysunęli się z zarośli i z lewej strony ujrzeli wilka, zbliżającego się wolnym biegiem do brzegu zarośli, przy których oni stali. Charty jak wściekłe zerwały się ze smyczy i pomknęły ku wilkowi, rzucając się pomiędzy nogi koni.

Wilk wstrzymał się w biegu, zwrócił zwolna łeb ku psom, skoczył raz, drugi i trzeci, machnął polanem (ogonem) i zniknął w zaroślach. W tejże chwili z przeciwległej kniei, z wrzawą i jękiem podobnym do płaczu, wypadł jeden ogar, potem drugi i trzeci, i dziesiąty, i cała złaja popędziła polem, tem samem miejscem, kędy przeszedł wilk. Tuż za psami rozchyliły się krzaki leszczyny i z nich wypadł cisawy, zczerniały od potu koń Daniły. Na długim jego grzbiecie skurczony i podany naprzód siedział Daniło bez czapki, z rozczuchranymi siwymi włosami, rozwiewającymi się nad czerwoną, spoconą twarzą.

— Haż-go-ha!!! (po ross. u-lu-lu!) ryknął, gdy ujrzał hrabiego, w oczach mu mignęła błyskawica gniewu. — Za...cy! — wrzasnął, i podniósłszy do góry harap, pogroził nim hrabiemu.

— Prze...li wilka! myśliwi! — i jakby nie racząc zaszczycić dłuższą rozmową zawstydzonego i zmięszanego hrabiego, z całą wściekłością, którą chciał wylać na winowajcę, uderzył harapem po bokach swego konia i puścił się w ślad za psami. Hrabia jak dziecko po otrzymaniu kary, oglądał się i usiłował uśmiechnąć się, jak gdyby chciał w Szymonie obudzić współczucie, lecz Szymona już przy nim nie było, ten bowiem skoczył krzakami, chcąc zabiedz drogę wilkowi; inni dwaj szczwacze z dwóch stron także pędzili w tym celu, lecz wilk poszedł krzakami i żadnemu ze szczwaczy nie udało się przejąć zwierza.

Mikołaj tymczasem stał na swojem stanowisku, oczekując na zwierza. Ze zbliżania się lub oddalania grania psów, z podnoszenia się lub opadania głosów dojeżdżaczy zrozumiał, co się działo w kniei. Wiedział, że w niej były młode i stare wilki, wiedział, że psiarnia rozbiła się na dwie części, że gdzieś poszczuto zwierza i że się coś stało niedobrego. Robił tysiące przypuszczeń nad tem, gdzie, zkąd i z jakiej strony wyjdzie zwierz i jak go on szczuć będzie. Nadzieja i rozpacz przejmowały go na przemiany. Po kilka razy słał gorącą modlitwę do Boga, aby stary wilk wyszedł na niego, modlił się z tem namiętnem, gorącem i trwożnem uczuciem, jak się modlą ludzie w chwilach gwałtownego wzruszenia, zależnego od błahej przyczyny. „Panie Boże! — wołał z głębi duszy — co Ci trudnego zrobić to dla mnie? wiem żeś Ty wszechpotężny i że grzechem jest prosić Cię o to, ale uczyń tak, na Mękę Twoją Cię zaklinam, aby stary wilk wyszedł na mnie i aby dziadzio, który ot tam stoi, widział, jak mój stary Karaj pochwyci go za gardło śmiertelnym uściskiem“. Po tysiąc razy w przeciągu pół godziny obrzucił Mikołaj natężonym i niespokojnym wzrokiem brzegi obu kniej i dwa pojedyńcze dęby, stojące między niskimi krzakami osiki, i parów z poszarpanymi przez wiosenne wody brzegami, i czapkę „dziadzia“, widniejącą z zarośli na prawo.

„Nie, nie będę miał tego szczęścia! — myślał sam w sobie — mnie nic się nie wiedzie zawsze i wszędzie, i na wojnie, i w kartach, i na polowaniu. Aby raz tylko w życiu uszczuć starego wilka, niczego więcej nie żądam!“ Tak myślał i wytężał wzrok i słuch, oglądając się na prawo i na lewo i wsłuchując się we wszystkie odcienia zajadłego grania psiarni. Jeszcze raz rzucił okiem w prawo i ujrzał, że przez puste pole coś ku niemu biegło. „Nie, to być nie może!“ — pomyślał, ciężko wzdychając, jak wzdycha człowiek w chwili, gdy następuje dawno przewidywany i oczekiwany wypadek. Spotyka go największe, wymarzone szczęście i to po prostu, bez hałasu, bez blasku, bez zapowiedzi! Mikołaj nie wierzył własnym oczom i ta wątpliwość trwała całą sekundę. Wilk sadził naprzód i ciężko skoczył przez rów, znajdujący się na jego drodze. Był to stary wilk z siwym grzbietem, z rudymi, pełnymi, najedzonymi bokami. Biegł wolno, nie spiesząc się wcale, widocznie w tem przekonaniu, że go nikt nie widzi. Mikołaj powstrzymując oddech, obejrzał psy, te nie wiedząc o niczem i nie widząc wilka, ani się domyślały, że zwierz tak blisko. Stary Karaj zawróciwszy w tył głowę i wyszczerzywszy pożółkłe zęby, ze złością wyszukiwał pchły, szczękając zębami po udach.

— Haż-go-ha! (u-lu-lu!) — wyszeptał Mikołaj; psy skoczyły, podzwaniając obrożami i nastawiając uszy. Stary Karaj raz jeszcze się podrapał, strząsnął się i machnął ogonem, na którym wisiały kosmyki sierci.

Puszczać charty, czy czekać jeszcze? myślał Mikołaj, czując gwałtowne bicie serca; tymczasem wilk zbliżał się ku niemu, coraz więcej oddalając się od lasu. Nagle w całej postaci wilka zaszła raptowna zmiana; ujrzawszy utkwione w siebie, zapewne nigdy jeszcze nie widziane oczy człowieka, wstrzymał się w biegu, jakby namyślając się, czy biedz dalej, czy zawrócić napowrót do lasu. To wahanie się trwało krótką chwilę, zdawało się, jakby powiedział sobie: wszystko jedno, naprzód! i puścił się nieco przyspieszonym śmiałym krokiem, nie oglądając się za siebie.

— Haż-go-ha! — nie swoim głosem ryknął Mikołaj i dzielny koń jego pomknął z kopyta, sadząc przez bruzdy i wyżłobione przez deszcze rowy na przełaj wilkowi, lecz jeszcze szybciej, wyprzedzając konia, mknęły charty. Mikołaj nie słyszał własnego głosu, nie czuł, że pędzi w skok na koniu, nie widział ani psów, ani konia, na którym pędzi.,. widział tylko wilka, który podwajając szybkość biegu, umykał dalej w raz obranym kierunku. Pierwsza dopadła wilka czarno-srokata o szerokim krzyżu Miłka i była już tuż, tuż nad wilkiem, wilk tylko spojrzał z podełba na nią i Miłka zamiast się rzucić na zwierza, wparła się przedniemi łapami w ziemię, jak gdyby się chciała zatrzymać.

— Ulu-lu-lu!!! — wołał Mikołaj.

Kasztanowaty Lubim wysunął się z po za Miłki i rzuciwszy się na wilka schwycił go za udo, lecz w tejże chwili, jakby przejęty trwogą, skoczył na bok. Wilk przysiadł na zadzie, szczęknął zębami i puścił się znowu dalej, otoczony psami, pędzącymi tuż obok niego, lecz nie odważającymi się na powtórzenie napaści.

„Ujdzie!... nie! to być nie może!" pomyślał Mikołaj, nie przestając zachęcać psów ochrypłym już głosem.

— Karaj! ulu-lu! — wołał szukając oczami starego charta, jedyną swoją nadzieję.

Ten wytężając wszystkie swe siły z oczami utkwionemi w wilka, pędził chcąc mu zaskoczyć z przodu, lecz sądząc z szybkości skoków wilka i wolniejszych skoków starego psa, widocznem było, iż pies się przerachował. Mikołaj już niedaleko przed sobą widział las, do którego wpadłszy wilk, na pewno ujdzie pogoni. W tem na przodzie ukazały się charty, pędzące wprost ku wilkowi i konny myśliwy za nimi.

Była więc jeszcze nadzieja! Nieznany Mikołajowi, duży, długi chart moręgowaty wpadł na wilka i prawie go obalił, lecz wilk, z szybkością, której się trudno było spodziewać, zerwał się i zgrzytnąwszy zębami, rzucił się na charta, ten zakrwawiony, z rozprutym bokiem zaskowytał żałośnie i upadł na ziemię.

— Karajku! kochanie! prawie płacząc wyjąkał Mikołaj. Stare psisko, z wiszącymi na udach kłakami sierci, dzięki tej chwilowej przeszkodzie, która powstrzymała bieg zwierza, zdołało doskoczyć na pięć kroków do wilka. Jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, wilk spojrzał z ukosa na Karaja, mocniej jeszcze wtulił ogon pomiędzy zadnie nogi i chciał przyspieszyć biegu; lecz w tejże chwili pies był już na wilku i z nim razem przewrócił się w rowie, wyżłobionym przez wodę.

Ta chwila, w której Mikołaj ujrzał w rowie psy szamocące się z wilkiem, ukazujące się niekiedy z pod nawały psów siwe kudły wilcze, wyciągnięte jego zadnie nogi, lub z przytulonemi uszami i z wyrazem trwogi szukającą tchu paszczą, bo Karaj wpił się mu zębami w gardło, była najszczęśliwszą w jego życiu. Brał się już za łęk siodła, aby zsiąść z konia i zakłuć wilka, gdy w tem z pod kłęba psów wysunęła się głowa wilka, którego Karaj już nie trzymał za gardło, potem przednie łapy, któremi się oparł na krawędzi rowu, następnie zadnie nogi silnym rzutem popchnęły jego ciało naprzód i wilk uwolniwszy się od psów, puścił się dalej.

— Mój Boże! za co? — jęknął z rozpaczą Mikołaj.

Szczwacz dziadzia z drugiej strony pędził na spotkanie wilka i psy znowu go osadziły i otoczyły.

Mikołaj, dziadzio i dwaj szczwacze kręcili się koło wilka, dodając zachęty psom i gotując się co chwila do zsiadania z koni, gdy wilk przysiadał na zadzie odgryzając się psom i znowu pomykali naprzód, gdy wilk uwolniwszy się od psów, starał się zbliżyć do lasu, w którym się spodziewał znaleźć bezpieczne schronienie.

Jeszcze na początku pogoni Daniło posłyszawszy okrzyk wyskoczył na brzeg lasu. Widział on, jak Karaj pochwycił za gardło wilka, zatrzymał więc konia, sądząc, że już wszystko skończone. Lecz gdy jeźdźcy nie zeskakiwali z koni, a wilk się otrząsnął i poszedł dalej, Daniło wypuścił swą szkapę, nie za wilkiem, lecz podobnie jak Karaj, na przełaj jemu od lasu; dzięki tak obranemu kierunkowi, dopadł do wilka wtedy, gdy charty dziadzia powtórnie go zatrzymały.

Daniło pędził w milczeniu, trzymając wydobyty kindżał w lewej ręce i młócąc harapem po bokach zjajanego konia. Mikołaj nie widział i nie słyszał Daniły aż do chwili, gdy tuż obok niego pomknął zasapany koń jego; wtedy usłyszał odgłos upadającego ciała i ujrzał, jak Daniło całym ciężarem zwalił się prosto z konia na wilka, usiłując pochwycić go za uszy. Widocznem się już stało i dla psów, i dla myśliwych i dla wilka, że wszystko skończone. Zwierz trwożnie przytuliwszy uszy, usiłował się podźwignąć, lecz go psy przysiadły. Mikołaj chciał dokłuć zwierza, lecz Daniło szepnął: — Nie trzeba, żywcem zwiążem! — i zmieniwszy położenie, nastąpił nogą na szyję wilkowi, któremu wsadzono kij w paszczę, związano go smyczą, skrępowano nogi i Daniło parę razy przewrócił wilka z boku na bok. Myśliwi z promieniejącemi radością oczami, zmęczeni, spoceni, zadyszani, włożyli wilka na grzbiet wierzgającego konia i otoczeni psami, zajadle warczącymi na zwierza, powieźli go na miejsce zborne. Dwa młode wilki wzięły ogary, a trzy charty. Myśliwi zjeżdżali się ze zdobyczą i gotowemi opowiadaniami, oglądając ciekawie starego wilka, który zwiesiwszy łeb, dziko spoglądał szklistym wzrokiem na otaczającą go zgraję psów, tłum ludzi i koni. Stary hrabia podjechał także, trącił wilka i zwracając się do Daniły, spytał:

— A co? chyba stary?

— Stary, Jaśnie Wielmożny Panie! — odrzekł pokornie Daniło, zdejmując czapkę.

W tem hrabiemu przyszedł na myśl wilk, którego przeoczył; odezwał się zatem:

— Ależ gorączka z ciebie!

Daniło nic nie odpowiedział, tylko się łagodnie i wstydliwie uśmiechnął.

*

* *

Stary hrabia odjechał do domu. Myśliwi pociągnęli dalej, ponieważ było jeszcze dość wcześnie. Zapuszczono ogary w wąwóz zarosły młodym lasem. Mikołaj stojąc na rżysku, mógł jednym rzutem oka ogarnąć wszystkich swoich szczwaczy. Naprzeciwko było pole, pokryte runią żytnią, i tam za krzakiem leszczyny stał jeden ze szczwaczy ze smyczą chartów. Zaledwie psy ze sfor spuszczono, Mikołaj posłyszał znany głos jednego ze swych ogarów, do niego przyłączyły się inne i w tejże chwili dojeżdżacz w kniei otrąbił się na lisa; knieja zawrzała graniem psów.

Szczwacz stojący za krzakiem zemknął charty ze smyczy i ruszył z miejsca. Wtedy Mikołaj ujrzał liszkę, która rozpuściwszy szeroką kitę, wypadła na runie; psy zaczęły już do niej dochodzić, gdy w tem dopadł jakiś obcy biały chart, a za nim drugi czarny; cała ta zgraja zakotłowała się w miejscu i po chwili psy się zatrzymały, otaczając jak gwiazdą punkt środkowy. Do psów podskoczyli dwaj jeźdźcy: jeden w czerwonej czapce, drugi obcy w zielonej kurcie.

— Co to jest? — myślał Mikołaj — czyje to psy? to przecież nie dziadzia! Kto ten myśliwy?

Tymczasem pomiędzy szczwaczami powstała sprzeczka; po żywych ruchach ich rąk Mikołaj poznał, że się zanosi na kłótnię. Ruszył więc stępo ku temu miejscu i zsiadłszy z konia w pewnej odległości spokojnie oczekiwał końca sprawy. Wreszcie szczwacz jego z przytroczonym lisem zbliżył się do niego, zdjął czapkę i chociaż usiłował mówić z uszanowaniem do młodego pana, mowa jego zdradzała wielkie rozdrażnienie, a podbite oko dowodnie świadczyło, iż w dyskusyi nie obyło się bez „dobitnych“ i uderzających swą siłą argumentów.

— A będziesz ty szczuł zwierza z pod naszych ogarów? a to jeszcze moja myszata suka wzięła, a on chwyta za liszkę jak za swoją! a nie pójdziesz ty precz do dyabła, mówię i dalej go tą samą liszką po pysku; ot tobie liszka, teraz u mnie w trokach! A może chcesz pokosztować tego? dodał, wskazując na długi nóż myśliwski, wiszący mu u pasa.

Mikołaj nie wdając się z nim w rozmowę, pojechał ku obcym myśliwym. Był to sąsiedni właściciel ziemski, Płagin, z którym hrabia Rostow miał oddawna jakiś proces o granice i ztąd stosunki między obu domami wcale nie mogły nazwać się przyjemnymi. Mikołaj nigdy w życiu nie widział Płagina, lecz w skutek żywego swego temparamentu ze słyszenia tylko nabrał najgorszego o nim wyobrażenia i serdecznie go nienawidził. Ulegając burzliwemu swemu temparamentowi, konwulsyjnie ścisnął w ręce trzonek harapa, gotowy posunąć się do ostateczności wobec domniemanego swego wroga. Jakże się zdziwił, znajdując w Płaginie człowieka wysoce wykształconego, pełnego wytwornej, uprzedzającej grzeczności. Ten pospieszył przeprosić go za postępek swego szczwacza i dla zatarcia niemiłego wrażenia, wywołanego tem zajściem, zaproponował mu przejechać się po jego polu, leżącem nie dalej jak o wiorstę, gdzie podług słów jego pełno było zajęcy. Mikołaj się zgodził.

Wszyscy trzej, to jest Mikołaj, Płagin i dziadzio, jechali obok siebie, ukradkiem spoglądając na psy sąsiada, czując w nich współzawodników dla swoich własnych.

Mikołajowi szczególnie wpadła w oko niewielka, żółto centkowana suka o stalowych muszkułach, cieniutkiej trąbie i czarnych, wypukłych oczach, idąca na smyczy u Płagina. Słyszał on już wiele o rączości chartów Płagina i przewidywał, że jego Miłka znajdzie w niej niebezpieczną rywalkę.

W śród poważnej rozmowy o urodzajach, wszczętej przez Płagina, Mikołaj wskazał mu na sukę.

— Śliczną pan masz sukę — rzekł niedbale — musi być rącza.

— Ta? tak sobie, niezła — odrzekł Płagin — który przed rokiem dał za tę sukę trzy rodziny dworskich ludzi. Chcąc więc za grzeczność odpłacić wzajemną grzecznością, pilnie obejrzał czarną srokatą Miłkę.

— Ależ i ta u pana prześliczna! a dobrze chodzi?

— Tak, niczego, ujdzie! — rzekł Mikołaj, a w duchu pomyślał sobie: niechby tylko pomknął stary gracz szarak, a ja bym ci pokazał co to za suka? — i odwróciwszy się do swego szczwacza, zawołał: — rubla dam temu, kto pierwszy zobaczy starego zająca!

— Nie rozumiem — mówił Płagin — myśliwych zazdrośnych o psy swoje i o zwierzynę. Mnie bawi przejażdka w wesołem towarzystwie, ale liczenie tylko skórek po powrocie do domu, to mi już przyjemności nie robi, ani mię to martwi, gdy cudzy pies przed moim weźmie zająca; samo szczucie sprawia mi dostateczną przyjemność, zatem...

Dalszą mowę przerwał mu okrzyk: — heco! heco! — wydany przez myśliwego, stojącego na wzgórku z podniesionym harapem.

— Upatrzył, zdaje się, — rzekł niedbale Płagin — a co hrabio, poszczujemy?

— Tak, trzeba podjechać — odrzekł Mikołaj — ale jakże, razem? — dodał, wpatrując się w piękną Erzę Płagina i w rudego Rugaja dziadzia, to jest we dwoje współzawodników, z którymi mu się jeszcze ani razu nie udało porównać psów swoich.

Co to będzie — pomyślał — gdy Miłkę wyścigną?

— Stary? — spytał Płagin, spiesząc do myśliwca, który upatrzył zająca. — A pan? — dodał zwracając się do dziadzia.

— Gdzie mi tam do panów! — odrzekł zagadnięty z zasępioną miną. — Za psy panów płacono całemi wioskami, a moje zwyczajnie, w domu wyhodowane. Rugaj! Rugajku! tu do konia! — jakby tem zdrobniałem imieniem chciał wyrazić całe swe przywiązanie do tego rudego charta.

— W którą stronę głową leży? — spytał Mikołaj; nie zdążył jeszcze myśliwy odpowiedzieć, gdy szarak, czując zapewne przymrozek na jutro, nie doleżał i pomknął z kotliny.

W mgnieniu oka wszyscy trzej Mikołaj, Płagin i dziadzio pognali za nim, aby nie stracić najdrobniejszego szczegółu tej pogoni. Szarak, był to stary gracz, pomknąwszy z kotliny zwolna pokicał kilkanaście kroków, dopuszczając do siebie charty i dopiero wtedy, jakby oceniając cały rozmiar grożącego mu niebezpieczeństwa, wytężył wszystkie siły w szalonym pędzie.

Charty szczwacza, który upatrzył zająca, pierwsze pomknęły za nim, lecz nie zdołały jeszcze zbliżyć się do szaraka, gdy z po za nich wysunęła się piękna Erza Płagina, doszła do kota na odległość paru kroków, z niesłychaną szybkością skoczyła naprzód i pewna, że go już ma w pysku, z rozpędu przewróciła kozła na polu. Zając skur-

czył się i mknął jeszcze szybciej. Z za Erzy wyskoczyła czarno-srokata, o szerokim krzyżu Miłka, dochodząc zająca.

— Milciu! duszko! — rozległ się tryumfujący okrzyk Mikołaja, wyobrażającego sobie, że Miłka już, już uderzy i pochwyci zająca, lecz ta się uniosła, a zając przypadłszy, puścił się dalej. Teraz znowu doszła Erza i zawisła nad samym omykiem kota, jakby rozmierzając siłę i odległość skoku, aby go tym razem nie chybić.

— Ersiu! droga moja! — ozwał się twożny, prawie płaczliwy głos Płagina. Lecz Ersie nie było danem wysłuchać tego błagania. W chwili, gdy się zdawało że pochwyci kota, ten uskoczył na bok i wpadł na miedzę pomiędzy ozimem polem a rżyskiem. Znowu Miłka z Erzą, jakby sprzęgnięte razem, zaczęły dochodzić do kota, któremu na miedzy było lżej i psy nie tak szybko mogły doskoczyć.

— Rugaj! Rugajku! sprawa czysta, marsz! — ozwał się trzeci głos i rudy chart dziadzia, wyciągając się i garbiąc grzbiet, zrównał się z dwiema sukami, wyskoczył przed nie, rzucił się z niesłychaną siłą, zbił szaraka z miedzy na ruń, znowu zapamiętale skoczył, grzęznąc w rozmiękłej pod runią ziemi i schwyciwszy zająca, potoczył się z nim razem, tarzając się grzbietem w błocie. Psy gwiazdą otoczyły zająca, myśliwi stanęli nad nimi. Jeden tylko dziadzio zsiadł z konia, wziął zająca i oberżnął mu zadnie skoki. Oglądając się w koło, mówił prędko, sam nie wiedząc co i do kogo. — Oto sprawa czysta, marsz! Oto psy tysiącrublowe, siano za nim wożą, sprawa czysta, marsz! — jak gdyby chciał tych wszystkich zwymyślać, którzy go dotąd krzywdzili, a jemu teraz dopiero udało się z zarzutów się oczyścić. — Masz tobie i tysiącorublowe! sprawa czysta, marsz!

— Rugaj! do odprawy! — zawołał, rzucając psu skok zajęczy, oblepiony błotem. Zasłużyłeś! sprawa czysta marsz!

— Zmogła się, trzy obroty dała sama jedna! — wołał jednocześnie Mikołaj, również nie zwracając uwagi na to, co inni mówili.

— Jak się raz tylko uniosła, to wtedy po obrocie lada podwórzowy kundel weźmie zająca! — mówił Płagin zadyszany i zaczerwieniony ze wzruszenia i szybkiej jazdy.

Dziadzio sam przytroczył zająca, żwawo przerzucił go przez grzbiet konia, dosiadł swego wierzchowca z taką miną, jak gdyby chciał dać poznać, że z nikim już po tem co się stało, zadawać się nie chce, i odjechał.

Płagin i Mikołaj zmartwieni i prawie obrażeni, rozjechali się także i nie prędko zdołali przybrać wyraz pozornej obojętności. Długo jeszcze z zazdrością spoglądali na rudego Rugaja, który z grzbietem utarzanym w błocie, ze spokojem zwycięzcy, szedł za koniem swego pana, zdając się mówić całą swoją postawą: — Nie ma o czem gadać! jam sobie taki jak i wszyscy, ale jeśli chodzi o poszczutego zająca, to wtedy radzę, trzymajcie się ostro, bo wiecie teraz, z kim macie do czynienia!

* * *

Nie wiele już zostaje do powiedzenia. Jeżeli przytoczone przezemnie dwa ustępy nie wzbudzą w którym z czytelników zajęcia, gotów jestem skłonić głowę przed jego krytycznym poglądem, ale za myśliwego uznać go nie mogę. Niechaj myśliwskie swe zdolności rozwija nad półmiskiem zwierzyny, albo wreszcie jako prawdziwy „sporting-gentleman“ niech sadzi w czerwonym fraku na kusym hunterze przez Bartkowe płoty i Maćkowe rowy, strzegąc się, aby karku nie skręcić, ku czemu może być pomocną umiejętność prawidłowego spadania z konia, co także stanowi część sztuki. Lecz echo dawnych naszych, niepowrotnie minionych łowów, które były rozrywką, nie zaś popisem, nie zagra w jego duszy.

O PRZYBITKACH

PRZEZ

A. R.

(Dokończenie).

Ponieważ do osiągnięcia tego celu wystarcza już stosunkowo mały opór, jest ona zwyczajnie cienką przy odpowiedniej twardości. Zwiększając jej grubość uzupełniamy tylko opór przybitki pierwszej, otrzymujemy więc znane już rezultaty. W pewnych granicach własności przybitki tej odpowiednio zastosowując, możemy je wyzyskać z dobrym skutkiem dla rezultatu. Opór jej, jak już wspomniałem, przenosi się na przybitkę pierwszą za pośrednictwem masy śrótów, uciska je więc. Przypomnijmy sobie ruchy pojedynczych ziarn w lufie, której wiercenie jest mniej lub więcej wadliwem. Spotęgują się one niezawodnie, jeżeli rozluźnienie ziarn będzie większe. Jeżeli weźmiemy i to pod uwagę, że nieprawidłowości w wnętrzu lufy sprawiają nieregularny ruch przybitki pierwszej, sprowadzający za sobą drganie tejże, a co za tem idzie, chwilowe odrzucanie naboju śrótu i raptowne w tenże uderzenie (gdyż tarcie naboju jest mniejsze niż przybitki, nie dozwala więc na równomierny ruch), w wypadku tym rola przybitki śrótowej może się stać o wiele ważniejszą. Zwiększając jej opór a więc grubość przy tej samej twardości lub tę tylko (także zwiększając kaliber), możemy rezultat ogólny strzału polepszyć. Że granice, w których polepszenia te da się osiągnąć, tylko nie wielkie być mogą, dowodzić tego nie potrzebuję. Reasumując to, co dotychczas powiedziałem, możemy powiedzieć, że: przy każdym systemie przez użycie odpowiedniej przybitki, jeżeli lufy są prawidłowo wykończone, możemy wszelkie pożądane własności strzelby pod względem strzału uzyskać. Przy strzelbie zaś o lufach wadliwych zależnie od mniejszych lub większych zboczeń od stanu prawidłowego, do pewnych tylko granic, nie osiągniemy jednak zazwyczaj nigdy takich rezultatów, jak w poprzednim wypadku. Przypominam, że traktując o przy-

bitkach, te mam tylko na uwadze, a przyjmuję, że inne wyniki są normalne lub o tyle zmodyfikowane, o ile pociągają za sobą zmianę potrzebną przybitki. Za normę zaś wyników tych uważam ten stan, który analogiczne niniejszemu badaniu, za najlepszy w danych razach by wykazały.

Z kolei rzeczy przystąpię do szczegółowego przeglądu używanych przybitek. W jakich razach tę lub ową i w jakich wymiarach używać należy, kwestyi tej rozwiązywać nie będę, znachodzi ona bowiem wyjaśnienie w powyższem. Rozpatrzyć należy tylko własności poszczególnych odmian. Z dwóch stanowisk należy własności te traktować, mianowicie: O ile występują one w chwili eksplozyi prochu, te wpływ będą miały na ostrość strzału, a następnie te, które występują już podczas ruchu naboju śrótu w lufie, a oddziaływujące na wnętrze lufy, i jak wiemy w lufach mniejwięcej nieprawidłowych na ostrość strzału pośrednio, a bezpośrednio na jego gęstość. Materyał, z jakiego sporządzone bywają przybitki, pozwala je rozdzielić na: pappendeklowe i filcowe. Zajmiemy się pierwszemi. W handlu występują one, jak wiadomo, w licznych odmianach ze względu na twardość i elastyczność, a grubości zwyczajnie dwojakiej, odpowiednio do tego, czy na proch lub śrót użyte być mają. Przybitki te są najpowszechniejsze w użyciu, najtańsze, jednakże nie najlepsze. Szczególnie na proch używane, przeważnie bardzo wiele posiadają wad. Materyał nie jest dokładnie spojony, kruszy się, nie posiada odpowiedniej sprężystości i najczęściej nie jest czysty, zawiera bowiem obce w sobie ciała. Przy badaniu przybitek tych bliższem, znachodziłem nie rzadko na ich powierzchni bocznej ziarnka piasku, kawałki żelaza, drutu mosiężnego, cegły okruchy, węgla, a w jednym wypadku pół przybitki 10go kalibru zajmujący kamień. Że dodatki takie znakomicie zwiększają masę materyału i są najekonomiczniejszym surogatem, o tem nie potrzebuję wspominać, ze względu na lufy jednak a po części i na strzał, sprowadzają wartość takiej przybitki do minimum. Przybitki z masy bibułowej, nieco droższe, pod tym i innym względem lepiej nadają się do użytku. Ogólnie jednak wady przybitki, z materyału pappendeklowego sporządzonych, są liczne, chociażby materyał ten nie był tak złym, jak to w praktyce się okazuje. Jakkolwiek zapewniają one opór pożądany w chwili eksplozyi, tarcie ich w lufie jednak jest bardzo względne, a to z przyczyny, że w ruchu tym, jeżeli lufa tylko nieco jest wadliwa, podlegać mogą drganiom szkodliwym, za mało bowiem posiada materyał ten sprężystości, by zastosować się mogła przybitka, sporządzona z niego, pod ciśnieniem siły działającej do nierówności, jakie w lufie spotyka w tym wypadku. Ten brak zdolności zaakommodowania się, powoduje jeszcze osadzanie się, powstałe po spaleniu prochu, substancyi czyli tak zwanego osadu na ścianach lufy. Osad ten brudem także zwany, składa się przeważnie z ziarnek potasu. Ciało to jest hydroskopijne, jeżeli więc w powietrzu znajduje się znaczna ilość pary wodnej, przedstawia się jako masa gęsto-płynna i w tym stanie może być z łatwością przez posuwającą się przybitkę oddalona. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy powietrze jest suche, to jest, gdy posiada mniej wilgoci. W tym razie osadza się ta masa na ścianach lufy, tworząc twardą, kruchą powłokę, która w grubości rośnie w miarę zwiększania liczby strzałów, i nie może być już oddaloną w tym stanie przez w mowie będącą przybitkę. Rozumie się, że unikać powinniśmy takiego rodzaju chokeboorów. Przybitki cienkie tekturowe twarde, używane na śrót, o wiele lepiej, nie wielkiemu wprawdzie, zadaniu swemu odpowiadają, i są przeważnie z dobrym skutkiem używane.

Drugą grupę, jak wyżej wyraziłem, stanowią, jak sama nazwa wskazuje, przybitki sporządzone z filcu. Występują również w licznych odmianach. Przeważnie są one droższe jak poprzednie, a materyał o lepszych własnościach, zapewnia większą wartość użytkową. Posiadają sprężystość w większym stopniu, nie zawierają, wyjątkowo chyba, szkodliwie działających ciał, nie działają dla tego szkodliwie na wnętrze luf. Dostateczna sprężystość przy mniejszej stosunkowo twardości, nie jest tutaj bez znaczenia. W pierwszej linii nie dozwala przy przybijaniu prochu nadmiernie go ucisnąć czyli zmniejszyć objętość tegoż kosztem powietrza, które mieściło się między ziarnami w przestworkach większych. Jakkolwiek, jak już wiemy, proch spalić się może przy stosunkowo bardzo małej ilości powietrza, zawierając znaczną ilość tlenu w składzie swym, wystarczającą do tego, mimo to jednak pewne rozluźnienie ziarn jest bardzo korzystnem, gdyż ułatwia objęcie przez płomień zapałowy większej objętości prochu, a że o to starać się powinniśmy, nie potrzebuję powtarzać. Wady tych przybitek wprawdzie mniejsze są, jak poprzednich, nie mniej jednak istnieją. W ogóle są one za miękkie, w pierwszej chwili eksplozyi za mały przedstawiają opór, zwiększenie grubości ich i kalibru wprawdzie usuwa po części tę wadę, w wielu jednak wypadkach niedostatecznie. Wobec takiego stanu trudnoby nam było wybrać stosowną przybitkę, dwie te bowiem grupy tak jak je przedstawiłem, nie posiadają w dostatecznej mierze pożądanych własności.

W ostatnich latach wynaleziono sposób, który odpowiednio zastosowany, może usunąć zupełnie wady, jakie w poprzednich przybitkach istnieją. Środkiem tym jest ogólnie biorąc przesycanie czyli impregnowanie substancyami, które zwiększają twardość przybitki i pożądane tarcie zapewniają.

Poprzednio opisane dwie grupy istnieją w handlu, ulepszone w ten sposób. Zazwyczaj do czynności tej używa się tłuszczów stałych konsystencyi i nie nasyca się nimi całej przybitki, lecz tylko jej boczną powierzchnię. Ta gra najwyższą rolę, zostając w bezpośredniem zetknięciu z ścianami lufy. Rezultaty strzałów przy użyciu takich przybitek okazały się zupełnie zadawalającymi. Przez ulepszenie to łączymy korzyści obu poprzednich grup, i nadto własności powodujące te korzyści potęgujemy znacznie. Filc taki otłuszczony posiada twardość przybitki pappendeklowej pożądaną i sprężystość filcowej zwyczajnej. Ruch w lufie regularny, ścisłe przyleganie do wnętrza tejże, nie powodujące mimo tego zbytniego tarcia, utrzymywanie wnętrza w czystości, to są zalety, któremi pogardzać nie powinniśmy. Aby proch nie nasycał się tłuszczem, wystarczy odgrodzenie go cienką tekturową przybitką. Przybitki pappendeklowe tłuszczone, o ile z dobrego są materyału, w takim stanie ulepszenia mogą z większą korzyścią być używane, przy prawidłowych lufach z zupełnem nawet zadowoleniem. Robiłem liczne próby z przybitkami, nasycając je różnemi materyami, a mianowicie: woskiem, twardym wołowym łojem i stearyną. Rezultaty, jakie otrzymałem, nie wyróżniły żadnego z tych materyałów wybitnie. Do najlepszych jednak pod każdym względem wyników doszedłem przez użycie przybitki, sporządzonej w ten sposób: z zwyczajnego sukna

kocowego grubości 4 m/m wycięte filce, rozdzieliłem na 3 części, 1/3 całej ilości nasyciłem roztopioną gorącą mięszaniną, złożoną z 3/6 stearyny, 2/6 wosku i 1/6 łoju. Po ostygnieniu przybitka taka jest zupełnie twardą, z trudnością pozwala się zginać, mimo zupełnego przesycenia jednak nie powinna przy zgięciu nie wielkiem wykruszać się. Użycie przybitki tej było następujące: Na proch dawałem 3 przybitki, i to między dwie nienasycone jedną impregnowaną. Ogólna grubość tych trzech wynosiła 12 m/m, na śrót dawałem zwykłą przybitkę tekturową. Jak już wspomniałem, rezultaty okazały się nad podziw zadowalającymi. Po kilkunastu strzałach lufa była dokładnie w takim stanie zanieczyszczenia, jak po pierwszym, a brud widocznym był tylko w pierwszej połowie lufy, a świadczy to o uzyskanej explozyi prochu w małej przestrzeni, więc w krótkim stosunkowo czasie. Słuszność tego wniosku, nie uwzględniając nawet rezultatu pod względem ostrości strzału, popiera fakt, że po pierwszej próbie zmuszony byłem zmniejszyć zwykłą ilość prochu, gdyż oddziaływanie było bardzo dotkliwe. Wprawdzie przy próbach tych używałem strzelby jednej tylko, która i przedtem wystarczające usługi pełniła, nie wątpię jednak, że i strzelby mierne mogą się stać użyteczniejszemi przy użyciu tak sporządzonej przybitki.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o przybitkach nie wypełnionych całkowicie. Do takich zaliczają się t. zw. treibszpigle, w ostatnim czasie wyrabiane przybitki pappendeklowe i tłuszczone filcowe. Każda z odmian tych w miejsce powierzchni płaskiej posiada półkuliste mniej więcej zaklęśnięcie. Każdemu z szan. czytelników, jeżeli nie z doświadczenia własnego to przynajmniej z obcego, znanym jest wpływ treibszpiglów na stan luf. Aby zwiększyć twardość tychże, posługują się fabrykanci rozmaitymi dodatkami jak n. p. tłuczonem szkłem, małym dodatkiem wapna i t. d., są to niewinne rzeczy wprawdzie, przy dłuższem użyciu ich jednak w formie owej przybitki, przekonywujemy się, że pełniły funkcyę systematycznego prześwidrowywania luf. Zastanówmy się jednak, jaki wpływ może mieć przybitka o powierzchniach wklęsłych na rezultat?

Treibspiegel taki jest wygładzony starannie, i często dla uzyskania gładkości tej w większym stopniu obciągnięty cieniutką warstewką stearyny. Do łuski nabojowej wchodzi z powodu tego z bardzo małym oporem, chociaż ściśle do ścian przylega. Jakkolwiek mógłby kto sądzić, że przy explozyi prochu ciśnienie na ściany boczne zagłębienia przybitki powoduje większy opór, a tem samem szybsze spalenie prochu, to jednakże pozornie tylko, gdyż tu opór ten powodują powstałe już gazy, a więc w pewnem oddaleniu od miejsca spoczynku przybitki. Przekonały mnie o tem lufy Dreisówki, z której strzelano tylko treibszpieglów używając, a oddano mnie do próby w czasie, gdy strzelać zaczęła już bardzo licho. Przy badaniu wnętrza luf, okazało się, że od połowy mniej więcej długości tychże, w kierunku wylotu,' kaliber czyli światło się zwiększało, czyli że lufa od tego miejsca okazywała przekrój stożkowy. Fakt ten popiera powyższe słowa, dotyczące działania treibszpieglów na lufę, a granica, gdzie to się zaczyna, pozwala nam wnosić, że w tej przestrzeni nastąpiło spalenie się całej ilości prochu. Że mimo tego osięgamy znaczną siłę strzału, zawdzięczyć to mamy właśnie temu oporowi, który w miarę zwiększania prężności gazów wzrasta, wyrównując ujemności chwili pierwszej. Działanie powyższe da się wytłómaczyć na podstawie prawa fizykalnego o zmianie objętości gazów, jaki wpływ wywiera jednak na stan luf, wspominać nie potrzebuję. Z tych powodów nie zalecamy treibszpieglów do użytku zwłaszcza częstego, gdyż innego rodzaju przybitki nie łącząc wad tychże, wystarczające usługi nam oddać mogą. Pappendeklowe miękkie i filcowe tłuszczone tej kategoryi już większą w danym razie mogą korzyść przynieść, a zwłaszcza te ostatnie. Aby zagłębienie przybitki pod śrót przynosiło jakąś realną poprawę w gęstości, praktyka tego nie potwierdza, a teorya zapewnić nie może.

Do materyałów, z jakich przybitki wyrabiane bywają, należy zaliczyć i korek. Ma on niewątpliwe zalety. Posiada elastyczność w wysokim stopniu i zapewnia znaczne tarcie. Tam więc, gdzie spotęgowanie własności tych a szczególnie tej ostatniej koniecznością się staje, korek odpowie najlepiej temu zadaniu. Zwyczajnie bywa używanym jako przybitka śrótowa, a w metalowych łuskach prawie wyłącznie, zabezpiecza bowiem najpewniej od rozluźniania się śrótu. Nie jest jednakże i ten materyał bez wad. Jeżeli będziemy korek do światła poruszać, spostrzeżemy na jego powierzchni, szczególnie w t. zw. soczewkach, ciałka migocące w tym ruchu. Istotą tych ciałek jest krzemionka, która pomimo rozdrobnienia, szkodliwie może działać na wnętrze luf.

KORESPONDENCYE.

Wolica 20. Grudnia 1886.

Przed paru dniami byłem na polowaniu w Łąkcie górnej, w starostwie bocheńskiem, polowaliśmy w cztery strzelby z nagonką, na terenie tak prześlicznym, jakiego tylko myśliwy zapragnąć może, ciągłe potoki i jary, naturalne remizy i wysokie miedze, wszystko to porośnięte krzakami i drzewami szpilkowemi, a pomimo tego po dwóch i pół dniach polowania nie chybiając, zabiliśmy tylko ośm zajęcy. Powodem tak lichego stanu tej zwierzyny jest nadzwyczajna ilość lisów, które prawie w każdym potoku jamy mają, a zatem nie wychodziły na myśliwych. Drugim, jeszcze ważniejszym powodem jest, że tam każdy chłop kłusownik, nie ze strzelbą, ale co jeszcze gorzej, poluje z drutem, drutów takich zebraliśmy całą nieubogą kolekcyę, bo około 40 sztuk, mosiężnych i żelaznych. Nic więc dziwnego, że biedne szaraki są tu tak rzadkim gogościem; to jeszcze dobrze trafiliśmy, że byliśmy obecnie przed śniegami na polowaniu, bo po śniegach okolica ta ani pachnie zającem Zające przez nas zabite były wszystkie silne i zdrowe, zdaje się więc, że tam motylica ani suchoty, tak jak u nas w Krakowskiem, gdzie zające dziesiątkują, w tym roku ich nie gubią. Jako dowód najlepszy kradzieży zwierzyny na druty donoszę, że zabiłem na tem polu zająca z zaciągniętym

*

drutem na szyi, którego drugi koniec zaplątał mu się około palców u tylnego skoku tak, że biedak tylko komicznie podskakując mógł uciekać. Na sarny również chłopi tam stawiają druty, i tak ubiegłej zimy jedną kozę wzięli żywcem i zawieźli na targ do Bochni, a rogacz złapany udusił się i dopiero na wiosnę leśny dworski znalazł go na pół zgniłego. Podług mnie ten gatunek kłusowników jest najniebezpieczniejszym, bo bez huku, przy strzelbach nieuniknionego, więcej zrobić szkody dziesięć razy potrafi; za parę centów kilkanaście takich oczek drutowych zrobić i zastawić można, na miejscu dziś zabranych, jutro znowu inne występują, a przy rozrzuconych domach, jak w Łąkcie Górnej, po całym obszarze gminnym i przeważnie we wszystkich wsiach górskich powiatu bocheńskiego dozorowanie straży myśliwskiej jest tak utrudnionem, że prawie go za niemożebne uważać można, i jedynie tylko gdyby właściciel gruntu, na którym drut zastawiony znaleziono, bezwzględnie był karanym, kłusownictwo to powstrzymaćby można, bo trzeba wiedzieć, że żaden kłusownik na gruncie drugiego drutów nastawiać nie będzie, przynajmniej jak mi dowodzono, w tej okolicy jest tak przyjęte, ale cóż z tego kiedy prawo powiada, że bez dowodów nie ma winnego, a bez winnego nie ma kary, trzeba więc czekać, aż się poczucie cudzej własności w naszym ludzie obudzi, ale zdaje się, że zanim to nastąpi, już i zajęcy nie będzie. *Wł. Zaleski.*

Gdy zima chwyci silna, a śnieg spadnie zawalny, wtedy poczyna się dla zwierzyny łownej ciężka pora niedoli. Nie tyle mróz jej dolega, bo od zimna chroni zwierzynę włos pod zimę gęstszy i puszystszy, czyli jak dawniej mawiano: „dobre poszycie“, chroni też zahartowanie. Sarny w ostoi leżą całem stadem, zbiwszy się w rudel, w mchach lub suchem liściu, zając w głębokiej kotlinie. nie dokuczają mu silne podmuchy zimowego wiatru, bo on zaledwie po włosie jego się ślizga i do ciała nie dochodzi. Kuropatwy też mimo siarczystego mrozu biedują jakoś. Najgroźniejszym dla zwierzyny jest głód, którego trudno zaspokoić, gdy śniegi wałem ziemię zasypią, a na powierzchni ich utworzy się w skutek mrozu twarda skorupa. Radzi sobie wprawdzie sarna, raciczkami grzebiąc śnieg, dobierze się wreszcie do zielonej oziminy lub rzepaku, gdy wszakże śnieg nadto wysoki, wtedy ogryza młode pędy dębiny, brzeziny, świerczyny, iwiny, łoziny, i jakoś, choćby najskąpiej, zaspokaja głód. Ale biada małemu szarakowi, który wówczas ginie prawie głodową śmiercią. W ostateczności wyrusza ku sadom, choćby na pewną zgubę, bo chłop zatkawszy dziurę w płocie, którą się zając do zagrody dostał, z pomocą psa swego ułowi go. Podczas szalonej zawieruchy często nawet dwie doby śniegiem zawiany, na żer nie wychodzi. Największą niedolę cierpią kuropatwy. Gdy śnieg gruby pokryje ścierniska i oziminy i nigdzie, nawet na wzgórkach, nie ma zdymek, a kuropatwa na ściernisku wykrzonem z kłosów, ziarnem, na oziminie tak zwanemi miechurkami, to jest ziarnem broną w ziemię nie wbitem, pożywić się nie może, wtedy nędza ich dochodzi do ostateczności. Całemi stadami „kitami“ cisną się do mieszkań ludzkich. Ileż ich wtedy ginie? Jednem słowem straszna dola zwierzyny w czasie nawalnej zimy! Dbały o nią myśliwy nie będzie patrzał na nią obojętnie, w własnym interesie postara się o pożywienie dla niej. Wszakże to nie wiele wymaga kosztu i trudu. My parków, gdzie najłatwiej żywić zwierzynę, prawie wcale nie mamy. W wolnych rewirach nie potrzeba kosztownych szop, dachem pokrytych tryzubów, w których się żer podaje, wystarczy podrzucanie kilku garstek niemłóconego owsa, wyki, koniczu zebranego na siano. Upatrzyć należy odpowiednie miejsce, gdzie sarny najchętniej przebywają, lub którędy w pole na żer wychodzić zwykły, nailepiej przy źródłach i potokach, i tu i ówdzie w rzadkich odstępach powtykać w niezamarzniętą jeszcze ziemię drewniane kołki z zaostrzonymi u góry końcami, aby na nich łatwo założyć snop niemłóconego owsa, z kłosem w dół zwróconym, aby go śnieg nie przysypał, koniczyny, wyki, lub nawet drobnego siana. Płochliwe sarny nawet się z tym obcym przedmiotem oswoją i chętnie skubać będą poddany żer, który też służy wybornie jako przynęta dla sarn z obcych rewirów. Żer ten pożywi też zające, które przed sarnami jeszcze szukać go będą. Kuropatwom również pożądana troskliwa opieka. Gdy w grubym i zaskorupionym śniegu pożywienia doparpać się nie mogą, lub gdy śnieg sypki jak piasek tak, iż biedna grzebielucha podejmuje istną pracę Syzyfa, to trud jej mozolny a próżny, wówczas nie wiele to kosztu i zachodu kazać w kilku miejscach odszuflować śnieg łopatami aż do samej ziemi i posypać ją ziołami, odpadłemi przy oczyszczaniu zboża. Jeśli chcesz się przekonać, jak zbawienne skutki wywiera takie postępowanie, zbliż się już po jednej dobie ku owym miejscom, a ujrzysz niezawodnie kitę kuropatw, dzióbiących ochoczo ową mannę Bożą, miłościwie przez ciebie poddaną. Kto sieje anyż lub kminek, którego zresztą w żadnym domu nie braknie, niechaj go doda nieco do owych ziół, co posłuży wybornie zdrowiu kuropatw, rozgrzewając żołądki ich, które przy gaszeniu pragnienia śniegiem łatwo się oziębiają, a w skutek tego biedne ptaki nawidzane bywają ostrą biegunką, sprowadzającą często śmierć. Dodatek ów jest nadto najlepszą przynętą, bo kuropatwy za nim, jak lud mówi, przepadają. „Syty głodnemu nie wierzy“, mówi słusznie dawne nasze przysłowie, ztąd ta obojętność myśliwych dla ciężkiej doli zwierzyny podczas zimy. Moi panowie, radzibyście jak najwięcej mieć zwierzyny, ale nie troszczycie się o jej konserwacyę, a ona przecież jest głównem hasłem zagranicy, szczególnie Czech, Morawii, Austryi, naśladujcie ją, a uzyskacie niezawodnie wzmożoną przyjemność i realny, bo znaczny dochód przynoszący, pożytek. *Doświadczyński.*

KRONIKA.

Na posiedzeniu Wydziału dnia 9. Stycznia b. r. przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki. Obecni: wiceprezes Towarzystwa hr. Stefan Szembek, członkowie: Bochdan Hipolit, Glanz Józef Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Wład.

Uchwalono: Cofnąć uchwałę Wydziału, według której redakcya „Łowca“ była obowiązaną umieszczać wszystkie artykuły przez autorów podpisane i poruczyć wiceprezesowi Towarzystwa hr. Szembekowi wspieranie redakcyi „Łowca“ radą i pomocą w kwestyach wątpliwych, a w sprawach ważniejszych a wątpliwych odnieść się do Wydziału.

Wybrano komisyę złożoną z Dra Ferdynanda Krattera i p. Władysława Riegera, przydzielając jej projekt Ustawy o kartach myśliwskich, z poleceniem, ażeby sprawę tę opracowała i ze względu na krótkość trwania sesyi sejmowej na najbliższem posiedzeniu przedłożyła Wydziałowi swe sprawozdanie i odpowiednie wnioski.

Zamieścić w najbliższym numerze „Łowca“ sprostowanie przez bar. Józefa Brunickiego wymagane.

Przesłać bezzwłocznie list do p. Stanisława Pawlikowskiego, w myśl uchwały z dnia 11. Grudnia r. z. powziętej.

Wybrano komisyę prawniczą, złożoną z Dra F. Krattera i p. Tadeusza Czarkowskiego i polecono tej komisyi opracowanie przedewszystkiem noweli do Ustawy łowieckiej, przedłożonej przez Rząd Sejmowi krajowemu, przedłożenie sprawozdania Wydziałowi, a następnie opracowanie, a względnie rewizyę Ustawy łowieckiej.

Wybrano komisyę, mającą się zająć wystawą myśliwską w Krakowie, złożoną z hr. Romana Potockiego, hr. St. Szembeka i Wł. Zontaka, z poleceniem, iżby ta komisya, porozumiawszy się z komitetem krakowskim i hr. Arturem Potockim, sprawozdanie w swoim czasie przedłożyła.

Umieścić list p. Cieńskiego w „Łowcu“, wystosować pismo do delegata o sprawdzenie faktów w liście podanych i donieść o nich c. k. Namiestnictwu.

Zwołać następne Walne Zgromadzenie Towarzystwa łowieckiego wtedy, gdy nagromadzi się dostateczny materyał do obrad tegoż.

Zwołać następne posiedzenie Wydziału na dzień 16. Stycznia b. r.

Członkowie Wydziału przyrzekli przesyłać redakcyi „Łowca“ sprawozdania z polowań, których byli uczestnikami.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego:

Bobrownicki Władysław.
Dziubiński Leon Gustaw.
Kęplicz Władysław.
Lubomirski Hieronim książę.

Komisya administracyjna zaproponowała, aby wniosek posła Abrahamowicza, dotyczący Ustawy, zaprowadzającej karty i certyfikaty myśliwskie, przekazał Sejm Wydziałowi krajowemu z poleceniem, by na najbliższej sesyi sejmowej przedłożył projekt do Ustawy, ile możności równocześnie z projektem do nowej Ustawy łowieckiej.

Komisya sejmowa gospodarstwa krajowego załatwiła przedłożenie rządowe o projekcie ustawy, zmieniającej niektóre postanowienia prawne o wykonywaniu prawa polowania. W projekcie rządowym poczyniła komisya pewne zmiany, a nadto proponuje następującą rezolucyę: „Wzywa się Wydział krajowy, by po dokładnem zbadaniu stosunków gospodarstwa łowieckiego w kraju, poddał rewizyi obowiązujące obecnie dotyczące ustawy i przedłożył odpowiednie wnioski na najbliższej sesyi sejmowej“.

Wydział krajowy został zawiadomiony, że uchwalony na zeszłorocznej sesyi sejmowej projekt ustawy o zaprowadzeniu kart i certyfikatów myśliwskich nie otrzymał Najwyższej sankcyi. Komunikat rządowy przedstawia powody odmówienia sankcyi w sposób następujący:

Postanowienia §. 4. projektu ustawy o należytości stemplowej za karty myśliwskie nie są zgodne z ustawą państwową z dnia 13. Grudnia 1862 r. Dz. u. p. nr. 89.

Według tej ostatniej ustawy za karty myśliwskie, jako świadectwa podlegające należytości, przypada, jeżeli karty wystawione są przez władze rządowe, według pozycyi taryfy 116 *a), aa)* należytość stemplowa w kwocie jednego zł., a jeżeli wystawione są przez inne władze, według pozycyi taryfy 116 *a), bb)* należytość stemplowa w kwocie 50 ct., za karty zaś wystawione personalowi służby myśliwskiej (certyfikaty) według pozycyi taryfy 116 *b)* należytość w kwocie 15 ct.

Według brzmienia §. 4. projektu ustawy miałaby być karta myśliwska zaopatrzona marką stemplową na 50 ct., względnie na 15 ct., zatem nie została wziętą pod rozwagę ta okoliczność, czy karty myśliwskie ma wystawiać rządowa czy inna władza.

Ponieważ w Galicyi karty myśliwskie miałyby być wystawiane przez władze polityczne pierwszej instancyi, więc w regule przez władze rządowe, przeto postanowienie §. 4. projektu ustawy, ustanawiające należytość stemplową za karty myśliwskie w kwocie 50 ct., zostaje w sprzeczności z pozycyą taryfy 116 *a), aa)* ustawy z dnia 13. Grudnia 1862.

W ogóle oznaczenie opłaty państwowej, czem jest także należytość stemplowa, stanowi wyłącznie przedmiot ustawodawstwa państwowego, a niekompetentne w tej mierze postanowienie projektu ustawy krajowej nie może być pominięte, a to tem mniej, ile że nie zgadza się ono z ustawą państwową i z zastosowaniem, jakie co do tej ustawy ma miejsce we wszystkich krajach koronnych.

W razie ponownego wniesienia projektu ustawy w Sejmie krajowym, wypadałoby z tekstu §. 4. wypuścić zupełnie słowa: „ma być opatrzoną stemplem na 50 ct., a względnie na 15 ct. i...“ Natomiast w rozporządzeniu wykonawczem do ustawy możnaby zmienić postanowienia o opłacie należytości od kart i certyfikatów myśliwskich, oraz od podlegających także opłacie stemplowej kart dla właścicieli chartów.

W razie wznowienia projektu ustawy w Sejmie krajowym, potrzebne byłyby nadto następujące zmiany:

I. Według §. 2. projektu ustawy, karty i certyfikaty myśliwskie mają być ważne na przeciąg roku kalendarzowego, w którym wystawione zostały i w całym kraju.

Postanowienie to nie zgadza się z ostatnim ustępem §. 6. o tyle, że certyfikaty mają być co do celu, czasu i przestrzeni, stosownie do udowodnionej w każdym wypadku potrzeby, ograniczone i stosownie do tego ograniczenia wystawiane.

Celem uchylenia tej sprzeczności należałoby w §. 2. ważność na przeciąg roku kalendarzowego i na cały kraj ograniczyć tylko do kart myśliwskich.

II. Z zawartego w §. 3. postanowienia, że władza polityczna wydawać będzie karty myśliwskie tylko uprawnionym do polowania lub tym osobom, które wykażą się pozwoleniem od uprawnionego do polowania, lub od dzierżawcy prawa polowania, mógłby być wysnuty mylny wniosek, że osoba, która kartę myśliwską otrzymała na podstawie wykazanego pozwolenia ze strony uprawnionego do polowania w pewnym okręgu łowieckim, miałaby prawo, na mocy karty myśliwskiej, ważnej w całym kraju, polować także w innym okręgu łowieckim, bez zezwolenia uprawnionego do polowania w tym ostatnim okręgu.

Należałoby zatem w §. 3. umieścić wyraźne, wszelką wątpliwość uchylające postanowienie, że karta myśliwska nie daje prawa do polowania bez zezwolenia uprawnionego.

III. Według §. 9. lit. *e)* już samo „przydybanie“ z bronią myśliwską na obcym obszarze stanowić ma powód utraty karty myśliwskiej i przestępstwo, według postanowień karnych tego paragrafu ukarać się mające.

Przy wykonaniu ustawy, postanowienie to mogłoby dać powód do mnogich weksacyj, zatem dla zapobieżenia tej ewentualności byłoby wskazanem, zamiast słowa „przydybanie“, umieścić wyraz „krążenie“, użyty także w odnośnem postanowieniu morawskiej i szlązkiej ustawy o kartach myśliwskich *(durchstreifen)*.

IV. Tekst §. 8. lit. *e)* projektu ustawy o tyle wymaga poprawki, że wyraz „czyn karygodny“, który tamże przeciwstawiony jest bezpośrednio przedtem użytemu wyrazowi „zbrodnia“, w pojęciu swojem obejmuje tak zbrodnie jak i występki i przekroczenia, a zatem tutaj niewłaściwie został użyty. Zamiast słów „czyn karygodny“ należałoby zatem zamieścić w tym paragrafie słowa „występek lub przekroczenie“.

V. W §. 11. projektu ustawy przewidziane są tylko orzeczenia karne, na mocy tego projektu zapadać mające, oraz tok instancyj przy wniesieniu rekursów przeciw tym orzeczeniom. Natomiast pominięte zostały zupełnie administracyjne decyzye, na mocy tego projektu wydawać się mające, oraz tok instancyj w tej mierze.

Celem uchylenia tej luki wskazaną jest następująca stylizacya §. 11.:

„Dochodzenie i ukaranie przekroczeń tej ustawy należy do tej władzy politycznej I. Instancyi, w której okręgu urzędowym czyn podlegający karze spełniony został.

Przeciw zarządzeniom, na mocy tej ustawy wydanym, oraz przeciw zarządzeniom karnym I. instancyi, służy prawo odwołania się do Namiestnictwa, a w dalszym toku instancyj, do instancyi ministeryalnej.

Przeciw dwom równobrzmiącym orzeczeniom dalsze odwołanie się nie ma miejsca.

„Zadawnienie przekroczeń i t. d.“, jak w §. 11. obecnego projektu, aż do końca tegoż paragrafu.

VI. Wreszcie w formularzu karty myśliwskiej data ustawy krajowej o ochronie zwierzyny, z 30. Stycznia 1875 jest niedokładnie przytoczona (31. Stycznia 1875).

Jak to umieją korystać z czasu energiczni myśliwi, którzy na krótką tylko chwilę mogą się oderwać od swych zajęć i oddać przyjem-

ności łowów, niech świadczy podany tu przykład. Grono myśliwych wyruszyło 16. Grudnia ze Lwowa o godzinie 6. rano, o godzinie 9. stanęli w Kamionce strum. (42 kilom.) po śniadaniu ruszono do lasu (12 kilom.), do zachodu słońca wzięto 14 miotów. Po obiedzie w Kamionce wyruszono o godz. 7. z powrotem do Lwowa, dokąd zdążono na godz. 10. A więc w 16 godzinach odbyć 15 mil (108 kilom.) drogi kołowej, zjeść śniadanie i obiad, wziąć 14 miotów, nie podjeżdżając na stanowiska — to istotnie rzecz niezwykła i godna zanotowania w kronice myśliwskiej. Lasy, w których polowano, należą do hr. Mierów. Rezultat łowów: 1 dzik, 3 lisy, 1 kozioł, 12 zajęcy, 1 jarząbek. *W. R.*

W poprzednim nrze „Łowca" umieściłem krótką wzmiankę o polowaniu w Chodorowie, obecnie pozwalam sobie dołączyć dodatek, ile sądzę pożądany. Polowanie w Chodorowie, odbyte w Grudniu, przypomniało uczestnikom jego głośny w kołach myśliwskich ze świetnego rezultatu rok 1879. W pamiętnym tym roku ubito w jednym dniu 28 kozłów. Następne lata wykazywały bardzo skromne rezultaty, a powodem miała być motylica, a może ważniejszą jeszcze rolę odegrało wdowieństwo licznych siut, pędzących przez dłuższy czas swój żywot w celibacie po zgonie owych 28 poległych w jednym dniu baszów sarniego rodu. Za prawdziwą więc zasługę należy poczytać pełnomocnikowi Chodorowskich dóbr p. Linkowi, iż racyonalnem gospodarstwem doprowadził zwierzostan do pierwotnej świetności. Wymownym tego dowodem jest rezultat z d. 17. grudnia, padło bowiem w tym dniu: 13 kozłów, 4 lisy, 6 zajęcy. Uwzględnić trzeba szare pole łowom wcale nie sprzyjające, na którem trudniej niż na śniegu rozpoznają się kozły, pozbawione obecnie rogów, wiele ich więc przepuszczono bez strzału, z ujmą dla rozkładu. Lisów padło mało, ponieważ od przeszłej jesieni do obecnej chwili t. j. w przeciągu jednego roku, ubito ich na wyłącznie na nie urządzanych polowaniach przeszło 80. Zajęcy w tym roku brak nadzwyczajny. Chybionych strzałów było bardzo mało, na 46 bowiem strzałów ubito sztuk 24. *Sew. Krog.*

Dąbrówka-Starzeńska, 10. Stycznia

Dzików w naszej okolicy (w Sanockiem) jest o wiele więcej, jak w latach poprzednich, lecz jakieś szczególniejsze szczęście ochrania je od zagłady, i tak np. polowano u mnie w rewirach Dąbrowskich (2.400 morgów) w 7 strzelb na otropione dziki. Były one w trzech miotach, w jednym 4 sztuki, w drugim 3, w trzecim ogromne stado, składające się z 12 sztuk, lecz niestety udało się im ze wszystkich trzech miotów ujść cało, choć do nich kilkakrotnie strzelano. Przed tygodniem dano mi znać, że są otropione dziki w mojej kniei „Tatarski dół" zwanej, pospieszyłem tam zaraz z leśniczym, jednym gajowym i kilkunastu naganiaczami. Zaledwo nagonka ruszyła, przedstawił mi się jako zapalonemu myśliwemu zaiste wspaniały widok, lecz tylko widok, bo do strzału nie przyszedłem, wypadło 17 dzików, z tych cztery bardzo duże, na mego gajowego, który strzelił dwa razy lotkami w tę zgraję i ranił dwa warchlaki, ale tylko lekko farbowały, a choć pół mili odbyto pochód za farbą, nigdzie nie legły, więc widocznie źle były trafione. *A. S.*

Wydział Tow. łow. otrzymał w darze od pana Raula Dąbrowskiego, istotnie monumentalne dzieło p. t. *Allgemeine Encyklopädie der gesammten Forst und Jagdwissenschaften.* Wien und Leipzig 1886. Verlag von M. Pertes. Erster Band Aal-Bezoar, za który dar tak cenny wyraża szczerą wdzięczność i podziękę. Głównym współpracownikiem, redaktorem i kierownikiem tego wydawnictwa jest pan Raul Dąbrowski, którego dzieła, umiejętności łowieckiej poświęcone, mają europejską sławę. Encyklopedya ta, z wzorową starannością pod względem naukowym, literackim i typograficznym wydana, przynosi nader cenną usługę leśnictwu i łowiectwu i treścią swoją i formą niezmiernie się zaleca. Zwracamy na nią uwagę naszych czytelników.

W poprzednim numerze umieszczoną była wzmianka, iż w Bereżnicy na polowaniu ubito trzy kozy. Na listowne wezwanie pana bar. Józefa Brunickiego, iżby wyraźnie oznaczyć, w której Bereżnicy ów wypadek zię zdarzył, cświadczamy, iż wymieniona Bereżnica jest własnością pana Stanisława Pawlikowskiego. Przyznając słuszność wymaganiu pana bar. Brunickiego, właściciela innej Bereżnicy, wyjaśnieniem tem spełniamy nasz obowiązek.

Drohiczówka, 4. Stycznia.

Po odczytaniu w styczniowym numerze „Łowca" artykułu wstępnego, w którym odzywa się Wydział Tow. łow. do pp. delegatów, ażeby gorliwie czuwali nad przestrzeganiem ustaw i o zaniedbywaniu donosili Redakcyi, chociaż nie jestem delegatem, jako myśliwy czuję obowiązek napisania niniejszej korespondencyi. Jakkolwiek nie zamieszkuję powiatu Kołomyjskiego, jednak aż do mnie doszły smutne wieści już nie o zaniedbywaniu ustaw łowieckich, ale, że się tak wyrażę, o zupełnem lekceważeniu tychże. Nie wiedząc, czy Wydział otrzymał zawiadomienie od delegata z wymienionego powiatu o tem bezprawiu, nie chcąc, by takowe bezkarnie uchodziło, gdyż zły przykład mógłby znaleść naśladowców, donoszę, jak niżej, z prośbą, by Wydział zarządził, co uzna za stosowne. Otóż w Listopadzie r. z. odbyło się polowanie w Turce, o którem było krótkie doniesienie w grudniowym numerze „Łowca", ale nie dokładne, na którem padło 6 kóz. Zły przykład swoje zrobił, w Grudniu polowano w sąsiedztwie Turki w Kamionkach i zabito 9 kóz. Jak zaraźliwem jest takie lekceważenie Ustaw, był tu najlepszy dowód, gdyż nawet tacy, którzy za prawdziwych myśliwych uchodzą, strzelali do kóz i niestety nie bez skutku. Korespondencyę niniejszą kończę jak najspieszniej, bo przykro mi, że zamiast dzielić się z czytelnikiem „Łowca" opisem miłych przygód myśliwskich, muszę tak niemiłe fakta podawać. Był to dla nas pod każdym względem niesprzyjający rok, bo nie było ani zajęcy, ani dzików, ani uczciwej zimy, więc dobrze, że się już skończył, bo może przyszły będzie lepszym. *Tadeusz Cieński.*

W dobrach księcia Sanguszki w Gumniskach, koło Tarnowa, odbyły się polowania w dniach 7. i 8. Stycznia w 10 i 11 strzelb. Pierwszego dnia ubito w rewirze Świerczkowskim 2 rogacze, 5 lisów i 74 zajęcy, drugiego dnia w rewirze Krzyżu 5 lisów, 125 zajęcy i jedną kuropatwę. Rezultat pod względem stanu zajęcy jak na ten rok i tamtejsze stosunki wcale niezły, ale ubolewać wypada nad upadkiem stanu sarn w rewirze Świerczkowskim, gdzie one wskutek choroby racic na wiosnę w znacznej ilości padały. *R. P.*

Na polowaniu odbytem w Zadwórzu, w dobrach p. H. Bochdana, d. 7. Stycznia w 7 strzelb, w ciągu 5 godzin padło 5 rogaczy, 13 zajęcy i 2 kuropatwy. Lat temu 30, Zadwórzecka knieja była zupełnie pustą, nawet zając był rzadkością, lecz przez staranne pielęgnowanie zwierzyna doszła do takiej ilości, że sarny znajdują się prawie w każdym miocie, a zajęcy też nie brak, lecz tak jak wszędzie tak i u nas jest ich tego roku bardzo mało. Kuropatw było wiele, natomiast liczba ptactwa błotnego skutkiem posuchy zbyt była nieznaczną. *T. B.*

Dnia 24., 27. i 28. Grudnia polowano w Zarzeczu (koło Niska), własności p. Kostheima, który sam nie jest myśliwym, ale strzeże pilnie knieje od kłusowników. Zabito 10 rogaczy, 14 lisów, 43 zajęcy, jarząbka i kunę leśną. Można było ubić trzy razy tyle, ale polowaliśmy na ogromnych przestrzeniach w 6 strzelb, do tego dodać należy, iż pogonka jaknajgorzej chodziła, bo była okiść i że wszystka zwierzyna w tył wracała. *J. J.*

Z Podola rosyjskiego.

„Dla czego diabeł mądry? bo stary", mówi przysłowie. W pewnej miejscowości z znaczniejszą przestrzenią lasu, urządzono polowanie według nowej metody, z nagonką. Lasy te mają położenie więcej wzgórzyste, a co najważniejsze, leżą w pobliżu Dniestru, więc pełno jarów i przepaści, a zwierzyny tam wiele, szczególnie dzików i sarn. Otóż w początkach Grudnia z. r. ogłoszono wielkie łowy. Kierownikiem ich był niemiec nadleśniczy, bardzo mądry, ale tylko z książki. Dawniej polowano w tych lasach z gończymi, teraz z nagonką. Nim rozpoczęto polowanie, mówię ja: ‚Szkoda czasu i atłasu", ale zakrzyczano mnie mianując starym zrzędą. Rozpoczął się gon w 80 ludzi różnego wieku, czekamy długo, lecz jakoś nic nie wychodzi na myśliwych, chociaż gońcy wyraźnie głosem a hu! a hu! osnajmiają wypłoszoną zwierzynę. Wreszcie wyłażą z gąszczy jeden po drugim, i już po miocie! „A co — rzeknę ja — czyja prawda?" I teraz nie przyznano mi słuszności. Radziłem wziąć miot od pól, ale mądry niemiec sprzeciwił się temu i znowu powtórzyła się ta sama historya. Wypłoszone stado sarn poszło na nagonkę między obszernemi łukami, bo ludzie po jarach i gąszczach się pogubili. Tego dnia ktoś tam przypadkiem ubił kozła, ktoś znowu lisa, co się był przyczaił. Nazajutrz oddano mnie kierownictwo łowów. W 18 strzelb z trzema sworami gończaków ubiliśmy: 7 kozłów, 6 lisów, 11 zajęcy (wszystkie stare) i na tem zakończyło się polowanie. W Wigilię Bożego Narodzenia zapolujemy na dziki w tych samych lasach, zapewne już na dobrze białej stopie, lecz *antiquo more* z pieskami, z jakim skutkiem, o tem jeśli pozwolicie, doniosę. *G. G.*

Styrnawa, 8. Stycznia.

Dnia 1. Stycznia r. b. wybrało się grono myśliwskie w 20 strzelb do Styrnawy, niedaleko Stryja, na dziki. Gdy myśliwi zajęli stanowiska,

jeden z nich leśniczy p. S. spostrzegł w odległości 15 — 20 kroków coś czarnego, poruszającego się. Przekonawszy się, że był to niedźwiedź, strzelił doń, poczem rozległ się przeraźliwy ryk, który myśliwych utwierdził w przekonaniu, że niedźwiedź był śmiertelnie raniony, zanim jednak zdołano dobiedz do owego miejsca, zagrzmiały trzy po sobie następujące strzały. Zraniony niedźwiedź rzucił się ku leśniczemu, lecz ten skoczył w przyległy gąszcz, gdzie nabiwszy swą lankastrówkę, strzelił po raz drugi. Wtedy niedźwiedź oddalił się do swego pierwotnego miejsca spoczynku, ale po chwili wrócił w widocznym celu rzucenia się na swego przeciwnika, a po dwóch strzałach p. S. padł trupem na miejscu. Towarzystwo myśliwskie nadbiegło na miejce, z którego ruszył niedźwiedź czyli raczej niedźwiedzica, jak się po zabiciu jej okazało. W krzakach znaleźliśmy barłog z 4 niedźwiadkami, zrozumieliśmy więc, dlaczego niedźwiedzica wróciła do owego miejsca. Przykład to wymowny miłości zwierząt dla swoich dzieci. Małżonek zapomniał widocznie o rycerskiej powinności względem swej połowicy, bo opuścił ją sromotnie w tak ciężkiej potrzebie i umknął. Tęsknem okiem patrzył za nim leśniczy i stałe powziął postanowienie rozprawienia się z nim. Niedźwiadki miały zaledwie 1 dzień, były ślepe, jasno szare z białemi plamami na karku. Dwoje z nich mnie się dostały, ale po dwóch dniach poginęły. Jedno ofiarowałem za pośrednictwem czcigodnego Dra Nowickiego Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, drugie dostało się do Kobylińca, zkąd przejdzie zapewne także do jakiego gabinetu.

M. L. . . . . h.

Czerniowce. 16. Stycznia.

W dniu 15. t. m. odbyło się polowanie w Koromaniu, obok Czerniowiec, na którem padło 70 zajęcy i 8 lisów, strzelców było 24. Polowania Koromańskie należą do najpiękniejszych w Bukowinie co do zajęcy i lisów. Tegoroczny rezultat wobec poprzednich wcale nie świetny, a to z powodu braku śniegu, wskutek czego tylko mała część zajęcy w lesie przebywa, reszta w polu. Roku zeszłego na polowaniu w d. 15. grudnia padło 178 zajęcy, 11 lisów i 2 kozły na 30 strzelców.

C. Kochanowski.

Dnia 24. Stycznia odbyło się polowanie w dobrach Exc. hr. Alfreda Potockiego w Staremsiole, na dziki. Obecni byli na tem polowaniu hr. Sierakowski, Micewski, hr. Branicki Ksawery, hr. Antoni Wodzicki hr. Zdzisław Tarnowski i Teofil Żurowski. W 6 miotach ubito 4 dziki, a piątego postrzelono śmiertelnie, 2 rogacze, 2 lisy i 13 zajęcy. Ponieważ w miotach dziczych nie strzelano do drobnej zwierzyny, wielka ilość tejże uszła bez strzału. *T. Żurowski.*

Dnia 3. i 4. Stycznia odbyło się polowanie w dobrach Artura hr. Potockiego w Krzeszowicach. Z powodu silnej okiści nie polowano w zapustach smerekowych, z których zwierza wypłoszyć nie było możliwe. Brali udział w tem polowaniu: Exc. p. Namiestnik, Kaź. hr Badeni, Roman hr. Potocki i T. Żurowski. Ubito 112 bażantów, 2 króliki, 2 rogacze i 5 jeleni. *Teofil Żurowski.*

Z pod Łedeskuli.

Na werch hory Łedeskuli
Ne dohonyt nawet puli (kula).

Z dumą powtarza hucuł, bo w istocie góra ta stroma, według ostatniego pomiaru 6.482 stóp mierząca, z nagim, śniegiem pokrytym czubałkiem, jest rodzajem świętej Mekki, do której, żeby na niej być i zapolować, tęsknią huculi wsiów Rostoki i Tudiowa. Podnóże góry tej tak po galicyjskiej, jak też po węgierskiej stronie bujnym porośnięte lasem, z mnóstwem polanek czyli płazowin, najmilszą jest ostoją jeleni. Ile ich tam bywa, trudno wiedzieć, dawniej było ich więcej, obecnie stan ich znacznie się zmniejszył. Dlaczego? Oto huculi nadto często buszują, więc ubijają lub płoszą. Czytając „Łowca", z zazdrością dowiaduję się, że w Beskidach Sanockich, Samborskich i Stryjskich stan jeleni ma być świetnym. Kochamy lud, osobliwie hucułów, ale musimy przyznać, iż nadużywają oni dawnego przywileju wolności posiadania broni, nie bacząc na porę łowów i biją bezwzględnie zwierzynę, szczególnie jelenie. Skromna ta uwaga moja niech posłuży posłowi na Sejm, panu Romańczukowi, który w wniosku swoim wymagał, aby ludowi wiejskiemu wolno było posiadać broń palną w celu tępienia zwierząt drapieżnych lub szkodliwych. W takim razie wzmogłyby się nadużycia, przynoszące zamiast korzyści w ubytku tych zwierząt nieobliczone inne szkody. *S. G. L.*

Wilki. Z Dynowa donoszą: Zwierzyny u nas tego roku ogółem niewiele; najlepsze polowanie, w którem i kilka przedstawicielek płci nadobnej udział brało, odbyło się w dobrach pana Seweryna Skrzyńskiego w Nozdrzcu. Padło 67 zajęcy, 10 lisów, 6 rogaczy, 4 jarząbki i kilka słonek, które u nas w pierwszych dniach Grudnia jeszcze się zatrzymały. Pomiędzy sarnami znaczną szkodę wyrządzają tu wilki, które od przeszłorocznej zimy u nas stale tu goszczą. Znajdują się one przeważnie w lasach do dóbr Łubny, Wesoły, Futomy i Kąkolówki należących, jak niemniej w Jaworniku Polskim, Hadlach, Baranach i graniczących z temi lasach. Spotkać się z wilkiem choćby i we wsi, jest u nas rzeczą zwykłą i dość często się w nocy wydarza. Podajemy to do wiadomości z tego powodu, bo przekonaliśmy się, że wilki nasze nie należą bynajmniej do tych łagodnych, które tylko na zwierzynę dziką polują, a na widok człowieka w gąszcze się kryją. Jako przykład niechaj posłużą następujące, z autentycznych źródeł czerpane wypadki. Pewien gospodarz z Baryczy wybrał się w ubiegłym tygodniu wieczorem ze swoim synem do lasu. W lesie rozeszli się obaj w różne strony. Ojciec powrócił do domu około 6 wieczorem z uzbieranemi gałęziami, syna jeszcze nie było. Nic w tem jednak nie widział nadzwyczajnego, bo syn mógł łatwo się opóźnić. Gdy jednak do północy nie nadszedł, wybrał się ojciec z sąsiadem, w celu robienia poszukiwań. Nad ranem odszukano rzeczywiście jedną nogę odgryzioną wraz z butem, reszta została prawdopodobnie przez wilki zjedzoną, a jak ślad wskazywał, poprzednio do jaru zawleczoną. — W pierwszych dniach Grudnia zaszły fornalki dworskie z Dynowa po sągi do lasów łubieńskich. W czasie nakładania sągów usłyszano z daleka wycie wilka, które po chwili z mniejszej powtórzyło się odległości. Po niedługim czasie wilk, zwabiony zapewne wonią potu końskiego, okazał się fornalom w odległości kilkudziesięciu kroków. Oczywiście odegnano go ogniem, który i tak dla rozgrzania się rozniecono i obeszło się bez wypadku. — Jakób Szczepanik, stelmach zamieszkały w Igiozie, na obszarze dworskim tuż przy szosie węgierskiej, 1 kilometr od dworu, 3 kilometrów od Dynowa, usłyszał w środę 29. Grudnia skomlenie swego psa na dworcu, a wyszedłszy z chaty zobaczył wilka, niosącego psa w paszczy i spuszczającego się w jar, prowadzący od chaty ku dworskim przylaskom. Z psa znalazł następnego dnia gospodarz, przechodząc przez gaj, już tylko tylne skoki ogryzione. – Józef Mnich, tęgi parobczak z Igiozy, wybrał się wczoraj przed wieczorem do szewca, mieszkającego tuż pod dworem igioskim. Gdy jednak długo mu się zdawało czekać na buty u szewca, poszedł dla skrócenia czasu na Sylwestra w sąsiedztwo. Mimowoli zabawił dłużej aniżeli potrzeba było i wracał około 12tej w nocy do domu. Szedł drogą dworską, a minąwszy aleę lipową, prowadzącą od dworu i uszedłszy kilkadziesiąt kroków w czyste pole, zobaczył w pewnej odległości dwa stworzenia dosyć duże, biegnące szparkim kłusem przez dworski łan pszenicy ku niemu. Józef wiedząc o zjedzonym przez wilki psie Szczepanika, a wiedząc również, że psów tak dużych, jak zbliżające się właśnie stworzenia, nikt w okolicy nie posiada, domyślił się, że to wilki być muszą. Zrobił więc w lewo w tył zwrot, a dobiegłszy opodal stojącego pochyłego jarząbka, zrzucił buty i wydrapał się na drzewo. Wilki, gdyż w samej rzeczy one to były, przybliżywszy się, podeszły pod jarząbka, jeden z nich powąchawszy buty usiadł o parę kroków na drodze, drugi zawył i stanął dalej nieco na polu. Po chwili poszły oba w niziny ku łozom nad Sanem, zapewne w celu upolowania tam zajączka, których zimową porą dosyć wiele w łozach przesiaduje. Przestraszony Józef, któremu, jak sam mówił, włosy dęba na głowie stanęły i od potu zmokły, przesiedział jeszcze dobre pół godziny na drzewie, poczem zeszedłszy udał się już nie do domu, ale wrócił do dworu, a pobudziwszy dworskich fornali, prosił by go w stajni przenocowali.

Dziś już nikt w naszych stronach nie wyjeżdża bez broni palnej, chociażby tylko w sąsiedztwo. Kilka podobnych wypadków mógłbym jeszcze przytoczyć, lecz pomijam takowe, bo i nadmienione wyżej wystarczają aż nadto, by do ostrożności pobudzić podróżujących.

Dzien. Pols.

Wielkie polowanie na łosie odbyło się w początku Stycznia w kniei należącej do ordynacyi Ołyckiej księcia Ferdynanda Radziwiłła. Rzadki ten zwierz znajduje swą kryjówkę w ogromnych przestrzeniach bagnistych puszczy Cumańskiej, obliczają go tam na 400 sztuk. Na ostatniem polowaniu padło sześć łosiów, z których dwa ubiła księżna Maciejowa Radziwiłłowa, wielka amatorka łowów. W polowaniu brali udział goście z Poznańskiego, Warszawy i okolicy. *Dzien. pols.*

Biała sarna. Czytamy w „Czasie". W d. 27. Grudnia polując w majątku pp. Kochanowskich w Olszynach, w powiecie Brzeskim, ubiłem sarnę zupełnie jak królik białą. Białość jej była czysta i tylko w niektórych miejscach nieco żółtawa, a na grzbiecie i krzyżach jakby delikatnie popiołem poprószona. Raciczki miała zupełnie białe niby z porce-

łany, oczy i nosek jak heban czarne. Rzadki ten okaz właściciel polowania p. Jan Kochanowski przesłał prof. zoologii przy uniwersytecie Jagiellońskim, p. Nowickiemu, skąd odesłano go do Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. Leśniczy z Olszyn p. Szumański, znający wybornie tamtejsze miejscowości, oraz zawołany myśliwy, twierdził, że więcej takich nie ma, i że sarniąt białych wcale nie widziano. Ja z tego co zauważyłem oglądając tę sarnę, wnoszę, że prawdopodobnie była zupełnie jałowa i stanowi przypadkową grę natury. *Bronisław Abramowicz.*

P. R. Muzeum Dzieduszyckich składa za ten dar cenny szczerą podziękę.

Sprostowanie. W kronice numeru listopadowego r. z. znajduje się wzmianka, że w górach „Styryjskich" ubito na rykowisku 15 jeleni. Łowy te odbyły się w górach „Stryjskich".

☞ Pana hr. Marcelego Tyszkiewicza wybornej relacyi o jego polowaniach nie umieszczamy w tym numerze, bo przyszła ona niestety w chwili, gdy numer lutowy był już złożony i prawie gotów. Dziękujemy za pamięć łaskawą o „Łowcu".

INSERATY.

Bittner's Veterinär-Präparate.

Bittner's Räudeseife bewährt sich seit Jahren als vorzügliches Mittel gegen **Räudekrankheit, Flechte, Hautausschläge, Pusteln und sonstige Hautkrankheiten bei Hunden und anderen Hausthieren.** Der Gebrauch dieser Seife ist selbst bei gesunden Thieren zu empfehlen, da durch den Gebrauch derselben die Haut vollkommen von den sich bei Thieren in der Regel aufhaltenden **Parasiten** gereinigt, die Haare aber glänzend und geschmeidig gemacht werden. Preis per Stück **50 kr. ö. W.** 12 Stück in einem Kistchen **5 fl. ö. W.**

Bittner's Hunde-Pillen aus mildewirkenden Pflanzenstoffen bereitet, werden mit Erfolg gegen folgende Krankheiten der Hunde angewendet: **Hundekrankheit, Staupe oder Laune, Rheumatismus, Fallsucht, Fettsucht, Lähmungen, Hautausschläge, Räude, Gicht, Verstopfung und Wurmkrankheit.** Preis per Schachtel **1 fl. ö. W.**

Bittner's Huile balsamique, ein Mittel gegen den „**Ohrenkrebs** oder **Ohrenwurm**" der Hunde, durch welche selbst veraltete Leiden ohne Operation durch einfaches Bestreichen beseitiget werden. Preis per Flasche **2 fl. 25 kr. ö. W.**

Bittner's Einreibung für Hausthiere bewährt bei **Gicht, Lähmungen, Steifheit der Muskel und Sehnen** derselben. Bei Hunden wird die Einreibung auch nach grossen Strapazen zur Stärkung, dann, wenn selbe von der Wasserjagd oder grossen Regen durchnässt sind, als Vorbeugungsmittel gegen Erkrankung angewendet. Preis per Flasche **50 kr. ö. W.** 12 Flaschen sammt Kistchen **5 fl. ö. W.**

Bittner's arabisches Thierheilpulver, ein bewährtes Heilmittel gegen Krankheiten der Pferde, Ochsen, Kühe, Kälber, Schweine, Schafe und Ziegen wird erfolgreich angewendet. Insbesondere bei Pferden: Bei Bluthamen, Dampf, Druse, Husten, Kolik, Mangel an Fresslust und Würmern. Beim Hornvieh: Beim Blauwerden der Milch, Bluthamen, Blutmelken, Dampf, Husten, Kalbfieber, Kolik, Mangel an Fresslust, beim Aufblähen der Kühe (Windbauch), Würmern und Lungenleiden. Bei Schafen: Bei der Trommelsucht, beim Beginne der Drehkrankheit, bei Lähme der Lämmer und der Wassersucht. Bei Schweinen: Bei Wassersucht, Husten, Kolik, Verfangen (oder Ueberfressen), sowie beim Erscheinen von Beulen. **Bittner's arabisches Thierheilpulver** dient gleichzeitig als Schutz- und Vorbeugungsmittel gegen Krankheiten und entstehende Seuchen. — Preis per Paquet **40 kr. ö. W.** Eine Original-Kiste mit 50 Paquete kostet **15 fl. ö. W.**

Hauptversendungs-Depôt:
Gloggnitz Nieder-Oesterr. in Julius Bittners' Apotheke.
Depôt in Wien:
C. Haubner's Engel-Apotheke, I., Am Hof Nr. 6.

3—10

Pierwszy, najstarszy, jedyny na całą Galicyę

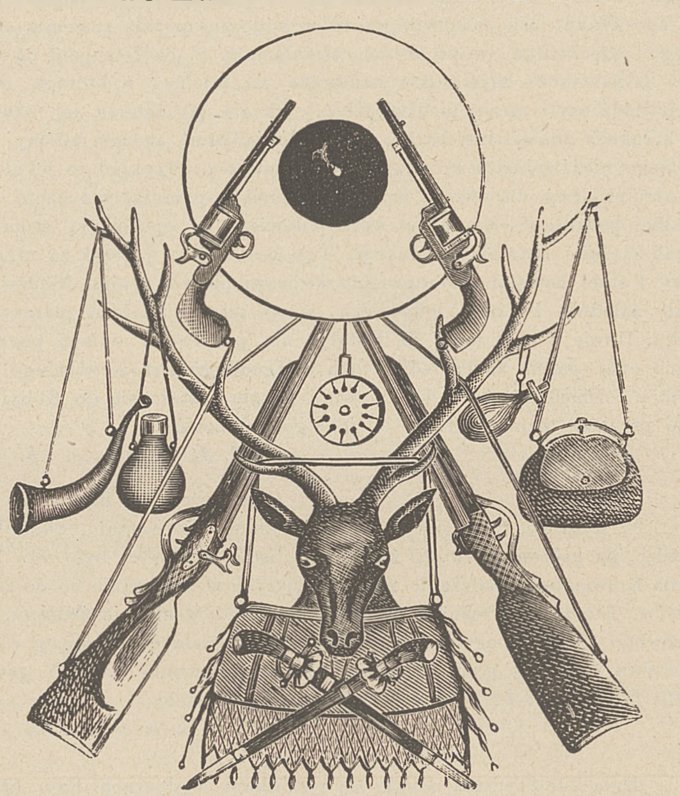
MAGAZYN BRONI

i przyborów myśliwskich

założony w r. 1852.

FRANCISZKA EHRLICHA

we Lwowie Halicka ulica l. 6.



BROŃ

wyrobu najsławniejszych belgijskich fabryk M. Arendt, Augusta Frankolego, wyroby czeskie i niemieckie, po bardzo zniżonych cenach.

	Od zł.	Do zł.
Pojedynki kapslowe	6.—	9.50
Dubeltówki kapslowe	11.—	35.—
Dubeltówki Lefaucheux	22.—	120. –
Dubeltówka Lankaster	33. –	150.—
Pojedynki Lefaucheux i Lancastra	24.—	35. -
Dubeltówki Teschnera i Dreysego	120.	130.—
Sztućce do polowania	28.—	60.—
Sztućce tarczowe	60.—	150.—
Sztućce Floberta	8.—	30. —
Pistolety Floberta	4.50	30.—
Krucice jedno- i dwururkowe	1.—	10.—
Rewolwery Lefaucheux na 5, 7, 9, 12 m/m	4.—	20.—
Rewolwery Lancaster 5, 7, 9, 12 m/m	6.—	35.—

Magazyny, miarki i rożki na proch, śrutownice, trąbki, piszczałki, wabiki, kapselniczki, futerały do strzelb i rewolwerów, torby myśliwskie wszelkiego rodzaju, paski do strzelb, pióra, kapelusze, czapki, kamasze i pończochy myśliwskie, kubki rogowe i cynowe do składania, etui ze szklanką, łyżką, nożem i widelcem do składania, kordelasy, noże i sztylety myśliwskie, siatki, krzesła do polowania, przybitki filcowe, dykturowe i tłuszczone, w różnych wielkościach, manierki i do wszystkich wyżej wymienionych broni wszelkie naboje i przybory.

Patrony		Kaliber 8 zł.	10 zł.	12 zł.	14 zł.	16 zł.	18 zł.	20 zł.	24 zł.	28 zł.
Lefaucheux zielone	Za 100 sztuk	2.70	2.50	2.	1.90	1.80	1.80	1.80	1.80	1.80
„ bronz.		2.20	2.—	1.90	1.70	1.40	1.40	1.40	1.40	1.40
„ szare		1.80	1.60	1.45	1.25	1.—	1.30	1.30	1.30	1.30
Lancastra zielone		2.90	2.80	2.40	2.20	2.10	2.10	2.10	2.10	2.10
„ bronzowe		2.80	2.70	2.20	2.10	1.80	1·80	1.80	1.80	1.80
„ szare		2.50	2.—	1.60	1.50	1.35	1.40	1.40	1.40	1.40

OGNI SZTUCZNYCH

salonowych, ogrodowych i wodnych.

Szczegółowy cennik na żądanie wysyłam gratis i franco.

Łaskawe zamówienia z prowincyi uskutecznione zostaną odwrotną pocztą.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I Związkowa Drukarnia we Lwowie.